

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

6

KONTAKTY
3-VIII-80
CENA 4 zł



Mnie trudno złamać, nawet teraz, nie chodzę, ale je tam wszędzie. Fot. Gabor Lőrinczy

kur jeszcze w puszczy pieje

JERZY GONCZARSKI

Nazywam się... Mniejsza o to. Mogę być każdym z nich, jednym z Deptułów, Ceberków, Kubłów, Kulasów, Płaków, Maciorów, Kiernosków, Dręzków. Solą tej ziemi.

Mogę być kimkolwiek z tego lasu, komu dał on schronienie, mimo że obcy.

Mogę mieć sto i więcej lat, jak te sosny bartne w taborskiej głuszy, pamiętać carskich czynowników, lebiódę na przednówku, przemysłowe rajzy za pruską granicę, obce szynelle, obce komendy pod obcym sztandarem, i krótkie zachłyśnięcie wolnością, gorzka, bo głodna, bo już nie był ten las taki, jakim go widziałem siurkiem, szczeniakiem będąc, ale jeszcze dawał schronienie, jeszcze z wynikiem się chodziło, co żywe, to do garnka, a później stokroć gorzej, wybijali ci zęby razem z polskim „dzień dobry”, guten tag, ale to nie był dzień dobry, szedłeś więc do lasu z obrzynką, samopalem albo z mobowym mauserem, coś go nie oddał i październikową nocą trzydziestego dziewiątego zakopał, byłeś znów leśny, przeżyłeś, dobrze, a nie, wyrabia dziś tę masztową sosnę, pod którą sobie leżałeś, wytną dookoła na kopalniaki albo powiozą do tar-

CIĄG DALSZY NA STR. 9-9



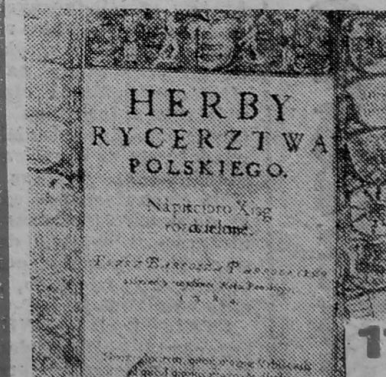
pasja Donaty Godlewskiej 4



już mi pannę rają 5



ino kurz spod kopyt 6

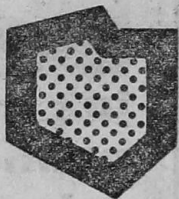


11

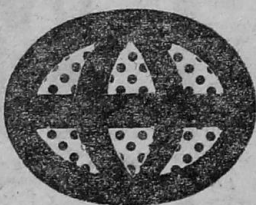


WARSZAWSKIE WŁADZE PARTYJNE będą udzielały pomocy i poparcia studenckiej akcji „Łomża 80”, w której słuchacze pięciu wyższych uczelni stolicy prowadzą badania i prace naukowe, służące rozwiązywaniu niektórych problemów społeczno-gospodarczych województwa łomżyńskiego. Zapowiedź taka była wynikiem spotkania, jakie przeprowadził z uczestnikami obozów naukowych w Łomżyńskim członek Biura Politycznego KC, I sekretarz Komitetu Warszawskiego PZPR — Alojzy Karkoszka. Odwiedził on studentów warszawskiej Akademii Medycznej, którzy w łomżyńskiej „Narwi” prowadzą badania nad wpływem hałasu na zdrowie pracowników. W czasie spotkania ze studentami Wydziału Handlu Wewnętrznego SGPiS Alojzy Karkoszka zapoznał się także ze wstępnymi wynikami analiz dotyczących zaopatrzenia rynku, komunikacji oraz niedomaganiach służby zdrowia. Alojzy Karkoszka podkreślił praktyczne rezultaty poczyną studentów architektury Politechniki Warszawskiej, którzy opracowali około dwudziestu propozycji domków mieszkalnych dla producentów rolnych. Z uznaniem sekretarz spotkał się również z plac zabaw dla dzieci na osiedlu Jantar, wykonany przez słuchaczy Akademii Sztuk Pięknych.

Studencka akcja — stwierdził I sekretarz Komitetu Warszawskiego PZPR podczas spotkania z młodzieżowym aktywnym Warszawy i Łomży — stanowi ciekawy kierunek prac warszawskiego środowiska studenckiego i dobrze przybliża je do praktyki życia codziennego.



BIURO POLITYCZNE KC PZPR i Prezydium NK ZSL zobowiązały wszystkie resorty do pełnego wywiązania się z dostaw środków produkcji dla rolnictwa oraz zalecieli placówkom handlu i skupu dostosowanie czasu pracy do potrzeb rolników. Aby sprawnie przeprowadzić akcję zniwina, wszystkie opóźnienia i zaniebdania w tych dziedzinach powinny być natychmiast usuwane.



PODSUMOWUJĄC 21 RUNDE rokowań wiedeńskich przedstawiciel Polski stwierdził, że przebiegała ona pod znakiem poważnych ustępstw krajów socjalistycznych: propozycji zwiększenia stosunku redukcji wojsk radzieckich do amerykańskich z 2:1 do 3:1 oraz zgody na zapewnienie stronie zachodniej elastyczności w ustalaniu zbiorowych pułapów sił (dotychczas kraje socjalistyczne opowiadały się za określeniem pułapów narodowych). Według przedstawiciela strony zachodniej — przeszkodą do zawarcia porozumienia są rozbieżności w sprawie danych liczbowych wojsk państw socjalistycznych, zwłaszcza radzieckich, w strefie Europy Środkowej.

STAŁA RADA UNII Zachodnioeuropejskiej podjęła decyzję o uchyleniu ograniczeń w sprawie budowy okrętów wojennych przez RFN.

W imieniu władz partyjnych i administracyjnych województwa łomżyńskiego I sekretarz KW PZPR, Waldemar Szpaliński podziękował studentom warszawskim za dobrą i użyteczną pracę oraz podkreślił, że władzom łomżyńskiego zależy na dalszym udziale studentów w rozwiązywaniu najtrudniejszych spraw województwa.

ZA WIELOLETNIA WZOROWĄ pracę zawodową i działalność społeczną odznaki „Za zasługi dla województwa łomżyńskiego” otrzymali: Maria Brakoniecka, Mieczysław Bujno, Regina Charubin, Jan Giry, Mieczysław Decewicz, Marian Gebarski, Eugeniusz Gosk, Jan Chołownia, Antoni Kondratowicz, Czesław Krawczyk, Kazimierz Kryłowski, Jerzy Kubrak, Andrzej Kuchniewski, Kazimierz Lemanski, Tadeusz Lendo, Bogusław Mazur, Tadeusz Poteraj, Anna Puławska, Jan Pukowski, Belesław Sarnacki, Jan Serwałko, Stanisław Sielawa, Władysław Słyszko, Jerzy Świątkowski, Julian Świdorski.

KOLNEŃSKI ODDZIAŁ WSS „Społem” zajął pierwsze miejsce we współzawodnictwie branżowym na terenie województwa łomżyńskiego. Na każdego ze 150 zatrudnionych tu pracowników przypada blisko jeden milion złotych obrotu w ciągu roku.

ANNA PACHOLEC z Łomżyńskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego „Narew” otrzymała indywidualną nagrodę oddziału Naczelnej Organizacji Technicznej w Białymstoku za opracowanie sposobu wstępnej obróbki i bielenia tkanin celulozowo-poliestrowych. Jej wniosek racjonalizatorski przyniesie rocznie około 1800 tysięcy złotych oszczędności.

SŁOWNICTWO GWAROWE w rejonie Szczuczyna, Grajewa, Grabowa i Wasosza jest przedmiotem zainteresowań uczniów średnich szkół łomżyńskich, Nowego Sącza i Śląska Cieszyńskiego, zgrupowanych na obozie w Nieckowie.

W **GRAJEWIE** z okazji 30-lecia Prokuratury PRL — odbyło się spotkanie, na którym omówiono o-

siągnięcia miejscowej Prokuratury Rejonowej w ochronie praworządności, ładu i porządku publicznego. Otrzymała ona nagrodę prokuratora generalnego PRL za zajęcie pierwszego miejsca w tej dziedzinie w makroregionie północno-wschodnim oraz proporzec przechodni Prokuratora Wojewódzkiego.

FINAŁEM RYWALIZACJI między Białosuknią a Kramkowem o puchar naczelnika był festyn inauguracyjny „Nadbiebrzańskie lato”. Wcześniej obliczono wyniki konkursu w takich dziedzinach, jak wielkość produkcji rolnej, zaległości w podatkach, wielkość składek na NFOZ. Wśród wielu imprez festynu nie zabrakło konkursu krasomówców, śpiewaków i tancerzy. Puchar przechodni naczelnika Goniadza obroniła Białosuknia. Nagrodę pieniężną — 100 tys. złotych — rozdzielono po połowie, bowiem Kramkovo prawie dorównało rywalowi.

OCENA MELIORACJI dorzecza Narwi jest przedmiotem prac podjętych przez Wydział Geografii i Studiów Regionalnych Uniwersytetu Warszawskiego. W trakcie badań, które powtarzane będą co pięć lat, określi się obieg wody w środowisku naturalnym i przekształconym oraz ewolucję cieków wodnych i zmiany wilgotności gruntu.

CIĄGŁE OPADY na terenie województwa stworzyły obecnie groźbę zarazy ziemniaczanej. Aby uniknąć znacznych strat uprawach, fachowcy zalecają opryskiwanie odmian wczesnych i średniowczesnych jednym ze środków: cynkomiedzianem, cynkodem, dihaną M-45, miedzianem. Zabieg ten należy powtórzyć po 7—10 dniach.

POPRAWA GOSPODARNOŚCI i warunków pracy w przemyśle oraz zadania w dziedzinie rolnictwa były przedmiotem narady I sekretarza komitetów wojewódzkich i kierowników wydziałów Komitetu Centralnego pod przewodnictwem Edwarda Gierka.

DOKONANE NA OSTATNIM posiedzeniu Sejmu zmiany planu zakładają zmniejszenie dostaw na rynek. Ich łączna wartość w tym roku wyniesie 1362 miliardy złotych. Aby ograniczyć skutki niższych dostaw, przewiduje się m.in. ograniczenie przyrostu zapasów w handlu oraz obniżenie sprzedaży pozarynkowej. Głównym jednak warunkiem powinno być dostosowanie towarów trafiających na sklepowe półki do potrzeb nabywców.

FRANZ JOSEF STRAUSS, kandydat opozycji chadeckiej na kandydata RFN, poparł „prawo do samostanowienia” organizacji przesiedleńców, co dla działaczy rewizjonistycznych oznacza żądanie powrotu na tereny za Odrą i Nysą. Wezwał ruch rewizjonistyczny do większej aktywizacji i wojowniczości.

W **KAIRZE** ZMARŁ były szach Iranu, Mohammad Reza Pahlawi (lat 60), chorujący od długiego czasu czasu na raka. Zostanie on pochowany w meczecie Al Rifai, w którym przez kilka lat spoczywały zwłoki jego ojca, znajdującego się także na wygnaniu w latach pięćdziesiątych. Prezydent Iranu stwierdził, że dla narodu irańskiego były szach zmarł już dawno i dlatego fakt ten w niczym nie wpłynie na zmianę stosunków irańsko-amerykańskich. Według wypowiedzi osobistości rządowych w Teheranie i deputowanych do parlamentu — zgon Rezy Pahlawiego nie zmieni także w niczym sytuacji amerykańskich zakładników.

FRANCJA DOKONAŁA podziemnej eksplozji nuklearnej w rejonie atolu Mururoa na południowym Pacyfiku.

OKOŁO MILIONA HEKTARÓW użytków rolnych znalazło się pod wodą na skutek powodzi. Nadmierne opady spowodowały ogłoszenie stanu alarmowego lub pogotowia przeciwpowodziowego w 21 województwach, głównie w południowo-wschodnich rejonach kraju. W Przemysłu wody Sanu przekroczyły poziom alarmowy o 2,5 metra; niżej położona część miasta została zalana przez wodę.

NA ZAPROSZENIE KC KPZR Edward Gierek przybył na wypocinek do Związku Radzieckiego. W Moskwie odwiedził on wioskę olimpijską i spotkał się z członkami polskiej reprezentacji olimpijskiej.

KANADA POSTANOWIŁA znieść embargo na dostawy zboża do ZSRR. Członek rządu stwierdził, że poprzedni, konserwatywny, rząd Kanady „popenił dużą omyłkę”, ustępując pod naciskiem USA.

W **SZÓSTYM MIĘDZYNARODOWYM** locie kosmicznym, w ramach programu „Interkosmos”, bierze udział Wietnamezyk — pplk Pham Tuan.

PRZEDSTAWICIEL IZRAELA, podczas nadzwyczajnej sesji ONZ w sprawie praw Palestyńczyków, stwierdził, że jest ona bezprawna i że Izrael nie zastosuje się do jej postanowień. Delegacja krajów arabskich — na znak protestu — opuściła salę obrad.

PIERWSZY TYDZIEŃ władzy junty wojskowej w Boliwii był niezwykle krwawy: ponad tysiąc zabitych oraz tysiące zaginionych bez wieści i wtrąconych do więzień. Wiadomość o masowych torturach i morderstwach reżimu boliwijskiego potwierdził rzecznik Departamentu Stanu USA.

dwa tygodni ekonomiki



O TYM SIĘ MÓWI

„O tym wszyscy mówią, natomiast rzadko kiedy można przeczytać w prasie” — taka opinia utarła się dość powszechnie. Chodzi o ceny, tę kategorię ekonomiczną, z którą każdy z nas spotyka się najczęściej, bo na co dzień, i która w sposób bezpośredni wyciska piętno na budżetach rodzinnych, na poziomie stopy życiowej.

Powiedzmy sobie szczerze: ogólna tendencja, z jaką się spotykamy i jaka towarzyszyć nam będzie w przyszłości, jest wzrost cen. Wynika to z prostego faktu, iż to, co składa się na kalkulację cen, a więc surowce, materiały, paliwo, energia, a także koszty siły roboczej — stale wzrastają.

W naszych warunkach społeczno-ustrojowych możemy w sposób planowy i z góry przemysłowy utrzymywać niektóre deficytowe kierunki produkcji. Nie grozi im bankructwo, otrzymują bowiem dopłaty z budżetu państwa. Dopłaty te dotyczą m.in. bardzo wielu produktów żywnościowych, przede wszystkim pochodzenia zwierzęcego. Według ostatnich obliczeń — różnica pomiędzy ceną płaconą rolnikom w skupie a ceną detaliczną jednego kilograma mięsa, wynosi średnio prawie 35 złotych. Pomnożmy to przez roczne rozmiary dostaw, a będziemy mieli dziesiątki miliardów złotych dotacji budżetowych li tylko na rynek mięsny.

Z budżetu? A co to znaczy? Skąd się ten budżet państwowy wzięł?

Oczywiście, dochody budżetu państwowego wypracowywane są przez nas wszystkich. Pracują na nie przemysł, budownictwo, rolnictwo i wszystkie inne działy produkcji materialnej. Jeżeli jednak pokażna część tych dochodów przeznaczamy na dotacje żywnościowe, mniej możemy asygnować na inne, również bardzo ważne cele społeczne, jak chociażby ochrona zdrowia, oświata, opieka społeczna.

Jeżeli np. w dającej się przewidzieć przyszłości kłopoty na rynku mięsa będą występować — nie zaspokoiły bowiem w pełni popytu na ten artykuł — to lepszym rozwiązaniem od dotychczasowych środków wydaje się regulowanie rynku mięsnego również przez ceny, zwiększenie udziału sprzedaży mięsa i według po cenach komercyjnych.

Sprawą najważniejszą jest, aby w warunkach wzrostu kosztów utrzymania polityka ekonomiczna uwzględniała interesy grup najmniej zarabiających, w których wydatkach artykuły żywnościowe szczególnie ważą. Oczywiście, ogólny wzrost kosztów utrzymania, mający wpływ na poziom stopy życiowej, musi powodować zrozumiałe niezadowolenie. Jest to naturalne. Ale nie można w tej sytuacji zapominać, że każde dodatkowe złotówki, jakie znajdują się na rynku bez zapewnienia wzrostu dostaw towarów, pogłębia trudności, sprzyjają inflacji, dezorganizują rynek. A tego przecież nikt nie chce.

Moim osobistym zdaniem — o cenach nie tylko powinno się mówić i pisać, ale w tej dziedzinie naprawde wiele zrobić. Są towary, które muszą drożeć, i na to nie ma rady. Ale jest też wiele przypadków, kiedy przedsiębiorstwa w sposób nie zawsze uczciwy, drogą podmiary gatunków, zmiany nazwy czy opakowania — ceny windują. Te praktyki trzeba nie tylko piętnować, ale wręcz skutecznie rugować z naszego rzeczywistości. **JERZY BIELECKI**

kontakty kontaktów

„Uprzejmie proszę o sprostowanie zamieszczonej notatki na łamach tygodnika łomżyńskiego z dnia 13 lipca 1980 roku na str. 7 (dotyczyła ona likwidacji biura pisanie podań — przyp. red.). Oświadczam kategorycznie, że Biuro pisanie podań było dodatkowym moim zajęciem po godzinach pracy. Z obowiązków prowadzącego Biuro pisanie podań wywiązywałem się uczciwie — bardzo dobrze. Dobro i powaga licznej mojej rodziny, w tym czworo dzieci — młodzieży studiującej, oraz dobro żony — zasłużonego pedagoga tej ziemi, wymaga autorytetu publicznego, zaufania dorastającej młodzieży. [...] Zechce więc Pan Redaktor skomentować ponownie w innej formie tę informację?”

WIKTOR CZUPRYŃSKI
Łomża

Od redakcji: Informację o likwidacji Pańskiego Biura otrzymaliśmy z Urzędu Miejskiego, który rzeczywiście taką decyzję podjął i umotywowal tak, jak podaliśmy w „Śpięciach”!

„Mieszkając i pracując w Łomży, a potem często ją odwiedzając — różne miałam doznania. Prawda, że Łomża była okrutnie zniszczona podczas ostatniej wojny, wyludniła się znacznie (z różnych przyczyn). Jednak społeczeństwo łomżyńskie [...] nie było pozbawione inicjatywy i pracowitości. Nigdy nie czułam się mieszkanką prowincjonalnego miasta. Tętniło ono życiem (czasami konfliktami), patriotyzmem, dobrze rozumianym.

A teraz moja prośba. W stopce 1/80 Waszego pisma nie znalazłem informacji o warunkach prenumery „Kontaktów”. Proszę o odpowiedź — w jaki sposób mam dokonać prenumery rocznej. Proszę pozwolić nam żyć na bieżąco problemami Ziemi Łomżyńskiej. Piszę «nam», bo mój egzemplarz będą czytali jeszcze inni łomżniacy. Być może wyzwolą się i nasze inicjatywy, będziemy mogli — nie mieszkając w Łomży — współdziałać wedle naszych sił i możliwości”.

REGINA DEBNICKA
Warszawa

Od redakcji: Informację o warunkach prenumery „Kontaktów” zamieściliśmy w 3/80 numerze; powtarzamy ją na stronie 15.

„Pismo Wasze podoba mi się bardzo, cieszę się, że nasze województwo nareszcie posiada własny tygodnik. Do czytelników otrzymaliśmy dopiero 3 numer pisma. Jak zauważyłam — młodzieży najbardziej podobają się «Radziłowskie impresje». Opisany obrazek charakterystyczny jest dla wiejskich punktów gastronomicznych i podobne scenki można zobaczyć w wielu miejscowościach, niemniej — taka krytyka być może zmobilizuje społeczeństwo Radziłowa.

Serdecznie zapraszam do odwiedzenia Szczuczyna. Właśnie w dniu wydania Waszego pierwszego numeru (26.06) zakwitły u mnie po raz pierwszy kaktusy. Są bardzo ładne — jako dowód przesyłam zdjęcie”.

BARBARA PASZKOWSKA
Szczuczyn



— Syn wyprowadził się do Białegostoku. A poza tym wszyscy w domu. Dni biegną nam normalnym trybem — mówi pani Irena Dudo. — Raz jest słońce, mimo deszczu, a innym razem deszcz i chmury — w słońcu. Dom, praca, praca, dom.

— Mój ojciec i żony ojciec — informuje Kazimierz Dudo — byli doręczycielami, jak to się teraz nazywa. No, listonoszami po prostu. Żona od 29 lat jest telefonistką w „międzygminowej”. A ja 28 lat pracuję na poczcie; ostatnio jako przewodniczący Rady Zakładowej. Moja szwagierka jest zatrudniona w telekomunikacji od 1946 roku; siostra też. Także mój brat jakiś czas pracował na poczcie, a bratowa chyba z 10 lat. Całe życie, jak pani widzi, mamy na poczcie. Budynek, w którym mieszkamy, też jest pocztowy.

— Dzieci nie garną się do tego zawodu — mówi pani Irena z uśmiechem — chociaż syn Wiesław jest radiowcem, a to jakby pokrewny fach. Młodsza córka uczy się w Liceum Ekonomicznym, a starsza pracuje w WSS „Społem”. To już zupełnie co innego.

— Ale za to podtrzymuje tradycję w mojej rodzinie — wtrąca

raty. Zięć w maju wziął urlop i cały czas pracował na swoje mieszkanie w budownictwie patronackim. Córka Bogumiła wróciła przed paroma dniami z Mistrzostw Polski Klubów Gwardyjskich, a mąż... jak zwykle się spóźnia.

— Lecz na polski złoty wrzesień. Do tej pory jakoś nie mogłem pójść na urlop, a w sierpniu mamy w Łomży spartakiadę pracowników łączności z całego okręgu.

— A dziadek miał mi kupić poloneza — przypomina, siedzący na ojcowskich kolanach, Artur.

— Ale nie ja, drugi dziadek — mówi ze śmiechem pan Kazimierz. — I co?

— Nie ma złotych polonezów — oświadcza mały — a ja nie chcę brązowego.

Nawet w niedzielę panu Kazimierzowi trudno oderwać się od pracy. — Poczta w wojewódzkim mieście, przy turystycznym szlaku, a czynna od 9.00 do 11.00. Ani za-

wiać z ludźmi. Bo ludzie potrafią nam nawymyślać: „Co pani, do cholery, tam robi, spi?” Wtedy odpowiadam grzecznie: „Niech pan przyjdzie i zobaczy”. Dziennie łączymy rozmowy za 30–40 tysięcy. Mamy też zlecenia nietypowe. W Łomży bardzo trudno dodzwonić się do rozlewni gazu, więc zdarza się, że łączymy z „gazem”.

— Narzekają ludzie na kolejki na pocztę.

— W Łomży są tylko dwa urzędy pocztowe — odpowiada pan Kazimierz. — Ten na Świerczewskiego to właściwie mały punkt, a na osiedlu Jantar mieszka z pół Łomży. Największy tiok panuje od 1 do 15 każdego miesiąca. Wtedy wszystko zależy od tego, jak ludzie sobie zorganizują robotę. Od zgrania.

— Znowu zaczynamy o robocie — reflektuje się pani Irena.

— Zacznie człowiek o guzikach, o tym, że trzeba coś na zimę z u-

Życie na pocztowo



Fot. Gabor Lőrinczy.

Józef Mierzejewski, mąż córki. — Mama, tatuś i dwie ciotki też pracują w WSS-ie.

Linia losów tej rodziny przypomina zawiły rysunek korzeni wielkiego drzewa. Obecnie cztery pokolenia żyją pod jednym dachem: babcia, Irena i Kazimierz Dudowie, ich dzieci oraz wnuk i jednocześnie prawnuk — Artur, który jest oczkiem w głowie całej rodziny. Słowo „dom” brzmi tu dostojnie, bo obrosła je rodzinna tradycja. Mały, dwupiętrowy Artur z ufną wdrapuje się na kolumny „wszystkim po kolei”. Z dziadkiem „dyskutuje” o samochodach.

— Nie myli nawet fiata z ladą — stwierdza dziadek. — I kolory już rozróżnia.

— Jak pojechaliśmy w czerwcu do rodziny nad morze, bo mały ma skłonności do anginy — wtóruje pani Irena — to wszyscy się dziwili, że dzieciak taki sprytny. Urlopy w tym roku wykorzystujemy na

dzwonić, ani nadać telegramu czy pobrać z książeczki pieniądze. Ale to z braku etatów — wyjaśnia od razu.

— U nas, w „międzygminowej” — mówi pani Irena — są inne kłopoty. Ludzie czekają długo na rozmowy ze względu na brak łączności. Przy połączeniach automatycznych ze wszystkimi miastami wojewódzkimi nie byłoby problemu. Pracujemy na trzy zmiany. Największe nasilenie ruchu mamy od siódmej do piętnastej, a potem koło siedemnastej, osiemnastej. Zawsze na zmianie trzy koleżanki pracują na zgłoszeniach: przyjmują rozmowy, informują i załatwiają reklamacje. Jeśli zgłoszenia przyjmuje dziewczyna, która dopiero się uczy, to trwa sporo czasu, bo musi wszystko dokładnie zapisać. Koleżanki, które pracują dłużej (a jak ktoś przepracował u nas kilkanaście miesięcy, to zostaje na całe lata), robią to szybciej. I umieją rozma-

brania kupić — sumuje pan Kazimierz — a skończy na tym, co powiedział kierownik do swego zastępcy, albo o sesji KSR-u. Tak człowiek wszedł w te służbowe, drobiazgi, mniej drobne, poważne, sprawy, że wszystkie stały się jego własnymi.

— A przecież niełatwo było w nie wejść. Pamiętasz te centrale ręczne, gdzie każdy abonent miał swoje miejsce na ogromnym pulpicie? Opadało z piętnaście kłapek jednocześnie. Wracałam do domu z tymi kłapkami na oczach i furkotem w uszach.

— Jak by na to nie patrzeć, problemy i w pracy, i w domu mamy wspólne. I tu, i tam łączymy ludzi. Bo zawsze byliśmy blisko siebie. Porozumiewaliśmy się szybko. I bez szumów. Jak fachowcy.

TERESA POLECKA

Niektórzy mówią żartobliwie, że województwo powstało dzięki trzem kobietom: Helenie Czernekowej, Jadwidze Chętnikowej i Donacie Godlewskiej. W ludzkim gadaniu kryje się zawsze odrobina prawdy. O pani Donacie na pewno można powiedzieć, że dzięki upartemu i cierpliwemu dreptaniu od urzędu do urzędu — załatwiła dla miasta więcej niż dziesiątki ludzi służbowo dbających o sprawy regionu. Z jej imieniem nierozzerwalnie wiąże się istnienie i działalność Archiwum Państwowego w Łomży.

Wielu mieszkańców stolicy województwa pamięta jeszcze smutne mury budynków więziennych przy obecnej ulicy Świerczewskiego. Było to jedno z cięższych więzień politycznych okresu międzywojennego. W najgorszych okresach mieściło nawet ponad dwa tysiące skazanych. W styczniu 1945 roku większość zabudowań zburzyli Niemcy. Ocalały tylko trzy gmachy. W jednym z nich, dawnej izbie chorych, mieści się w chwili obecnej Archiwum. Gdyby nie ono, niepozorny

nach z roku 1860 — Archiwum posiadało 2230 ksiąg obejmujących lata 1421—1809. Był to chyba najlepszy i najstarszy okres tej instytucji. Potem dokumenty staropolskie przeniesiono do Archiwum Głównego w Warszawie, a w czasie drugiej wojny światowej część akt wywieźli Niemcy. Zagłada Archiwum Głównego podczas powstania w roku 1944 oznaczała całkowite zniszczenie reszty staropolskich akt łomżyńskich.

Powojenna historia Archiwum zaczęła się dopiero w połowie 1952 roku. Na krótko, bo jedynie do roku 1953, wiąże się ona z Haliną Jakowicką; później zaś, nieprzerwanie, aż po dzień dzisiejszy, nieodłącznie kojarzy się z Donatą Godlewską.

Początki były bardzo trudne. Pokój z kuchnią, pieczonek. O księgozbiorze nawet nie można było zamarzyć. Wszystko wypadło organizować z niczego. Samemu. Zaczęło się od bardzo uciążliwych kontroli. Wyjazdy do Kolna, Zambrowa, piesze wędrówki na „zabite dechami”

biegłym miesiącu została laureatką indywidualnej nagrody „Gazety Współczesnej”. Fakt, że znała ją w Łomży, nie jest niczym nadzwyczajnym. Przecież tu się urodziła. Opuściła ją tylko na okres studiów. Studiowała w Łodzi, na początku nauki przyrodniczo-matematyczne. Zainteresowania pchnęły ją jednak w innym kierunku: skończyła historię i archiwistykę. Była na seminarium u profesor Gasiorowskiej, która proponowała jej miejsce w swojej katedrze. Ale gdy tylko doszła do niej wieść, że w Łomży powstaje Archiwum, zostawiła Łódź i kuszącą propozycję pracy naukowej. Chciała być z rodziną i przyjaciółmi w mieście, z którym łączyły ją bliskie więzi. Mogłoby się wydawać, że świat dokumentów i martwych, poślikanych ze starości, przekazów izoluje od ludzi. Jest to na pewno praca czasami mechaniczna, ale nie wtedy, gdy trzeba dużo jeździć, penetrować okolice.

W latach pięćdziesiątych była jedną z niewielu popularyzatorów historii regionu. Wielu osobom zo-

spiećcia



Najwyższy próg w Łomży jest w gabinecie prezydenta. Jak dotąd — żadnemu z dziennikarzy „Kontaktów” nie udało się go przekroczyć, mimo usilnych starań. Zawsze słyszą tę samą, tajemniczą, odpowiedź: „Prezydent jest na sesji wojewódzkiej.” Ba! Gdybyśmy mieli pewność, że waży się tam najważniejsze sprawy miasta, moglibyśmy uspokoić wszystkich — utyskujących na niedogodności życia w nim — mieszkańców. Nie możemy też odsyłać ich pod ten wysoki próg, bo wyszlibyśmy na takich, którzy wyręczają się innymi w forsowaniu przekrótów.

Deszcze padają, zbliża się akcja żniwna, a naczelnik gminy Szepletowa ma „Kontaktom” tylko tyle do powiedzenia, że chętnie sprzedałby od ręki swój gminny wydział gospodarki komunalnej, albowiem musi w nim osobiście dbać o sprawy kadrowe i dyscyplinę pracy. Oferuję tę kierujemy do naczelnika gminy Szczuczyn, jako szansę niezależności się od Grajewa.

Budowa budynku GOK-u w Szepletowie trwa już 5 lat. Potrwa jeszcze drugie tyle, ponieważ były architekt powiatowy wykonał projekt tego obiektu tylko w ołówku, i tylko na fundamenty. W tym czasie rozwiązano powiat i architekt przejął się — jak wieść gminna nie się — do Ostrołki. Zniecierpliwiony wykonawca przystąpił do zalewania fundamentów. Zalewał trzy lata, po czym okazało się, że są o połowę za płytkie. Jak się kultura szepletowska na nich utrzyma?

W Ciechanowie funkcjonuje nowoczesna lecznica zwierząt z całodobowymi dyżurami, wyposażona m. in. w aparaturę do leczenia diagnostycznego i salę operacyjną. Natomiast Zespół Opieki Zdrowotnej nie dysponuje nawet własnym pogotowiem ratunkowym. Chciałoby się powiedzieć: człowiek człowiekowi lekarzem.

Kiosk „Ruchu” w Szczuczynie rozprowadza herbaczniki i groszki owocowe. Nie byłoby w tym nic zabawnego, gdyby nie fakt, że zajmują one połowę jednej z dwu salek tworzących Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury.

Niniejszym powiadamy, że posterunek Białostockiego Zakładu Energetycznego w Nurze, wraz ze śmietnikiem, zarasta pokrzywami.

Naczelnik Szepletowa obiecał mieszkańcom gminy, Janowi J., że umorzy mu podatek, jeśli ten się ożeni. Rolnik Jan J. skwapliwie skorzystał z propozycji. Naczelnik słowa dotrzymał.

— Une nie dajo narzeńdzi, a cheo, żeby zrobić — powiedzieli nam ludzie na ul. Marii Skłodowskiej-Curie, którzy na chodniku trudnią się stukaniem jednej płyty chodnikowej o drugą.

Koparki meliorantów w okolicach wsi Kobylin Łatki wchodzi w dojrzewające zboże jak w masło. Główny rów biegnie przez środek żytniego łanu. Melioranci twierdzą, że pracują z planem w ręku.



Fot. Gabor Lőrinczy

budyneczek zostałby pewnie już dawno zapomniany. Donata Godlewską uczyniła z niego miejsce bliskie i potrzebne nie tylko tym, którzy piszą prace magisterskie i doktorskie. Imponująco piętrzą się na regałach książki, skoroszyty, teczki — pięćdziesiąt dwa tysiące jednostek archiwalnych. Jest to prawdziwa skarbnica historii Łomżyńskiego. Chociaż stan większości zgromadzonych dokumentów jest jeszcze dobry, grozi im jednak powolne niszczenie wskutek nadmiernej

wsie. Był to czas jeszcze niespokojny. Napady band na prezydium Gminnych Rad Narodowych nie należały wtedy do rzadkości. Jak w takich warunkach sprawdzać, upominać, radzić, a wszystko tylko po to, żeby zachować te, zdawałoby się, bezwartościowe stopy papieru. Czasami przyjeżdżała na kontrolę już po napadzie bandy — o dzień za późno, i wtedy nie było już nic do sprawdzenia. Dla samotnych podróżujących przygodnymi środkami transportu dziewczyny był to trudny

stały w pamięci jej artykuły w „Gazecie Białostockiej”, audycje w lokalnym radiowęzle. Potem zaczęła publikować prace naukowe i popularnonaukowe. Ich plonem było m. in. współautorstwo przewodników „Łomża i okolice” oraz „Łomża dla niecierpliwych”. Największą poczytność zdobyła sobie jednak książka „Dzieje Łomży”; co ciekawsze — nawet wśród dzieci, które urzekła barwnie pisanyimi legendami i podaniami o ich mieście rodzinnym. Donata Godlewska nigdy nie na-

pasja Donaty Godlewskiej

wilgoci. W już zatłoczonych pomieszczeniach robi się coraz ciśniej. A pomyśleć, że kiedy w roku 1957 wprowadzono się ono do tych właśnie sal, wydawały się one przestronnymi halami: 220 m² powierzchni, 1800 m³ kubatury! W poprzednim pomieszczeniu, suterrenach gmachu Polskiego Banku Narodowego, było zaledwie 50 m². Świadczy to o ogromie pracy włożonej przez panią Donatę Godlewską.

Los nigdy nie był zbyt łaskawy dla Archiwum. Powstało na przełomie siedemnastego i osiemnastego wieku, mieściło się w tzw. Skarbcu — parterowym budynku przy ulicy Senatorskiej, stanowiącym resztę zamku książąt mazowieckich. W roku 1824 Skarbiec został rozebrany, a cenne zbiory przywilejów i dokumentów oraz ksiąg grodzkich i ziemskich przeniesiono do budynku Trybunału Cywilnego Sądu Poprawczego. Według da-

okres. Ale jednocześnie okazja do dobrego poznania ludzi. Teraz wraca tam jak dobra znajoma. Dzięki tej niewdzięcznej, benedyktyńskiej pracy udało się Donacie Godlewskiej odnaleźć i przejąć wiele ciekawych akt, którym groziło całkowite zniszczenie. Dopiero dziś można w pełni ocenić ich wartość i wagę wysiłków archiwistki.

Radości odnajdywania cennych dokumentów towarzyszyła żmudna praca: konserwowanie, potem opracowywanie, a wreszcie udostępnianie innym. Przez ręce Donaty Godlewskiej przeszło już ponad sześć tysięcy teczek akt. A ile jeszcze czeka na przejrzanie?

Kto pamięta o ludziach zagrzebanych w stosach papieru, tych — w potocznym wyobrażeniu — odizolowanych od codziennego życia, trochę śmiesznych pasjonatów? Donata Godlewska zna prawie wszystkich. I to nie tylko w Łomży. W u-

rzekała na nadmiar czasu, ale zawsze potrafiła go znaleźć dla ludzi. Była opiekunem społecznym, zawsze wrażliwym na ludzkie niedole. Nie najwdzięczniejsze to zajęcie. Jeżeli Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej odmówił pomocy, pretensje kierowano przede wszystkim do niej. To jednak, co mogła zrobić dla ludzi, spotykało się zawsze z ogromną wdzięcznością. Kontynuacja jej społecznikowskiej pasji była trzykrotna kadencja w komisjach oświaty i kultury.

Niedługo ukaże się w sprzedaży album „Łomża i województwo”, którego jest współautorką. Miłośnicy Ziemi Łomżyńskiej oczekują jednak przede wszystkim na drugą część „Dziejów Łomży”. Na drugą, a po cichu pewnie i na trzecią. Oby starczyło sił i zapалу.

DANUTA SOBOLEWSKA
ALEKSANDER WRONISZEWSKI

już mi pannę rają

"Jadę od Krakowa,
Rąb tra rija da.
Już mi pannę rają,
Usia siusia sia.
Już mi pannę rają,
Ho, ho!
Posag za nią dają,
Cha, cha!
Cztery worki szezki,
Rąb ta rija da,
Popiołu dwie beczki,
Rąb ta rija da,
I jeszcze do tego —
Ho, ho!
Konia kulawego
Cha, cha!
I krowę, krowisję,
Rąb ta rija da,
I pannę Marysię
Rąb ta rija da!"

— Ileż to razy śpiewałem tę piosenkę — mówi Kazimierz Perkowski. — Janczary odpinali się przed wsią, bo na podwórko panny należało zajechać po cichu, aby wieść z ciekawości nie wyległa na drogę i żeby można było podpatrzeć przez okno, kto bardziej się krząta: matka czy córka. Udawano się nam zauważać różne sceny. Bywało i tak, że panna siedziała w jednym oknie i wyglądała, czy już jedziemy, a myśmy podglądali ją przez drugie. Inaczej wtedy zaczynała się rozmowa. „A i ja patrzyłam się — mówiła teściowa — i też nie zauważyłam. Jak koby, zasłi nas po cichu”. „Nie pierwszy i nie ostatni raz to już robię — triumfująco odpowiadał rajek. — My nie przyszli. My przyjechali, a żeby było weselej, nasz koń stoi już razem z waszym w chlewie i spokojnie kończy się skubie”. „O, patrzyła — z niedowierzaniem dociekała teściowa — jakie oni spryciarze. Okradliby nas, a my byśmy nie wiedzieli. Ojciec, przecie ty chodzilesz po gumnie, i nie nie widziałes?” „Nie” — przekonywająco odpowiadał rajek. „Córce by państwu skradziono i państwo by nie zauważyli”.

Pozartowaliśmy jeszcze trochę, najczęściej w wejściowych drzwiach, po czym zaczynałem mówić: „Ten pan chce się żenić i długo nie będzie jeździł. Jak państwa córce odpowiada, to ich zapoznamy. Pijaka to ja bym nie przywoził. O rajku Perkowski z Moczydła na pewno państwo siła dobrego słyszeli. Wiele już par połączyli. Wszystkie do dziś szczęśliwie żyją. Ten kawaler jest również porządnym i gospodarnym. Potrafi kochać żonę i dzieci. Gdyby był inny, tobyśmy tutaj nie przyjechali”.

Teściowa lub teść zapraszali do środka. Wyciągali stół, przykrywali świeżym obrusem. Teść obowiązkowo stawał butelkę zaprawionego miodem spirytusu, osobiście przez siebie upędzonego bimbru lub zwykłej przypalanki. Często z tej okazji szła druga i trzecia, jak teść chciał przekonać się, ile jego przyszły zięć potrafi wypić. Gdy już wszyscy zasiedli do stołu, wtedy podnosiłem się, uroczystie witałem się z teściami i tak zaczynałem mówić:

„Jechaliśmy przez państwa

wioskę,

Podobały się nam trzy

kwiatuszki.

Czy pozwolą nam państwo jeden

zerwać,

W państwa rodzinie wejść?

Bardzo prosimy rodziców o

zgode

I o pannę Marysi rączkę”.

Gdy skończyłem, wstawał kawaler i całował teściową w rękę, a później witał się z pozostałymi członkami rodziny: siostrami, braćmi. Niektórzy teściowej trzeba było dużo nagadać, aby nabrała przekonania. Wtedy pannę przekabacałem na swe kopyto, ponieważ wstydlawy kawaler nie zawsze potrafił to uczynić. Pannie! Kobiety łase są na komplementy, zwłaszcza gdy wyrażamy zachwyt nad ich mądrością i urodą. Mówiłem wtedy do niej: „Ślicznotko, laleczko, okragluta cebuleczko, szkoda by cię było, gdybyś dostała się w niedobre ręce”.

Towarzyszyły tym słowom żarty i śmiechy. „Dlaczego mnie pan całuje?” — pytała rozpromieniona panna. Od słowa do słowa, zagłębiałem się coraz dalej, aby jak najbardziej zdobyć jej zaufanie i sympatię do mojego kawalera. Bywało też tak, że my przyjechaliśmy jednego dnia, przyjęli nas, niby wszystko dobrze, ładnie, a następnego dnia przyjeżdżał drugi rajek z innym kawalerem, bo teściowa twierdziła: im więcej będzie komplementów, tym moja córka wybierze ładniejszego i bogatszego męża. Nieraz potrafili kawalera obgadać: „Takiego nam przywoź, ani to w pięć, ani to w dziesięć. Jak mnie w rękę pocało-

wał — wspominała teściowa — to jakby cielak poliznął. A język jaki ma ostry! Wygląda też do niczego. Ani to brunet, ani to szatyn”.

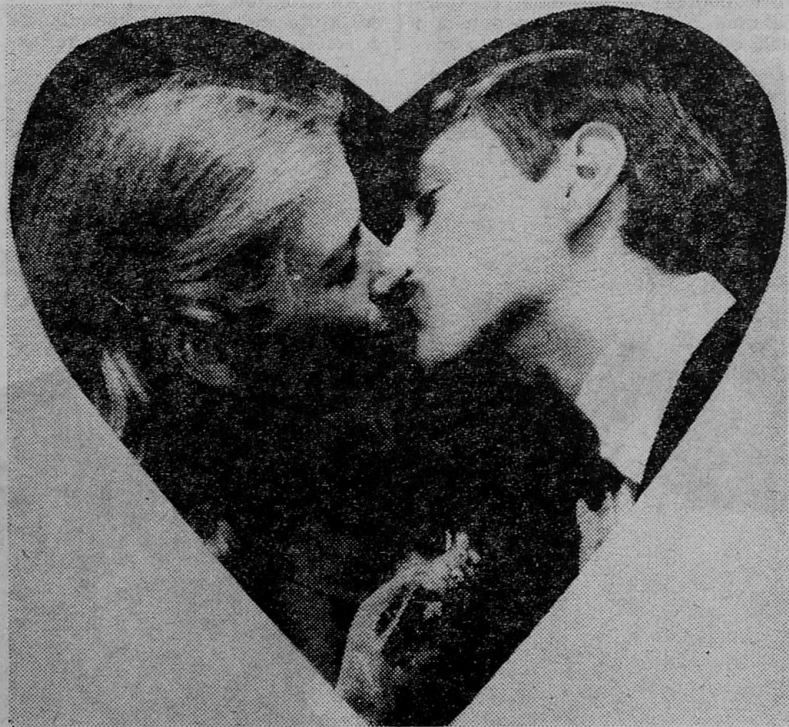
Rodzice panny w stosunku do rajki i jego kawalera zawsze odnosili się z pewną rezerwą. Gdy przyjeżdżało się jednak z kimś, na kim im bardzo zależało, wówczas czynili wiele zachodu, aby wszystko poszło jak najlepiej. Gdy Gienek zenił się na kolonii za koleją, to krowę i konia przyprowadzili od Sadujki, ziarno do spichlerza dosypali od sąsiadów, aby ich dom okazał się bogatszy. Byli też tacy, którzy na zasiłek kładli drzewo, a później, na wierzchu, kilka rzędów sнопów, niby że zboża mają tyle, aż pęka sodoła. „O, niech pan zobaczy — mówił teść — od klepiska, aż po jęł pszenica. Obrodziła latos. Siana też mamy dosyć, aby tylko krow było tyle, które je zezra”. Gdy byliśmy z Gienkiem, z tym z Bybylek, w Nartolach chyba, to wpadł na zasiłek, zaczął po nim skakać i krzyżeć: „Nie jestem taki głupi. Nie oszukała mnie. Drzewa nakładli na spód. Słyszycie, jak dudni?” „Nie wierzy, to niech sprawdzi” — bronił się teść. Odrzucił sнопek jeden, drugi, trzeci. Do samego dna by się chyba dokopał, ale za mocno kurzyło i dał spokój.

Musieliśmy zawsze mieć głowę na karku i wiedzieć, kogo żenić i z kim. Liczyli się lata, uroda, wielkość gospodarstwa. Kiedyś brałem od panien zdjęcia, aby mógł sobie kawaler

wpadnie, jak nie zwymyślał wszystkich, to już nikomu nie chciało się robić takich kawałów. Ożenił się z młodszą, a ta starą panną została. Przecież o 10 lat była między nimi różnica. Wdzięczny mi jest ten człowiek do dziś. Rajek musi mieć oczy i w d... i w głowie. Niech mi pan wierzy. Naprawdę.

Jeździłem też z takimi, którzy bali się dziewczyny jak ognia. W ubiegłym tygodniu przyjeżdża do mnie jeden żukiem z Zambrowa i mówi: „Panie Perkowski, niech pan ożeni mojego syna. Chłopak ma już 47 lat”. Właśnie dzisiaj jadę z nim drugi raz w komplementa. W Uniewie znalazłem mu pannę, ale on w obecności dziewczyny jest taki wstydlawy, skromniutki, jakby miał co najwyżej 16-17 lat. Musiałem go pouczyć, pokazać, jak powinno się do dziewczyny przytulać, co jej wtedy można mówić. Jakoś sobie w końcu z tym wszystkim poradził, ale aż się spocił. „Oj, biedny będziesz, człowieku, w noc posłubną — pomyślałem sobie — chyba że i w tym ciebie zastąpię”.

Jeżdżę w niedzielę, a w dni powszednie — wieczorami. Często rzucam nawet najpilniejszą robotę w gospodarstwie. Zawsze muszę jednak wiedzieć, jakiego kawalera wiozę w komplementa. Wypytam o niego ludzi z jego wsi, znajomych. Wybadam charakter. Kiedyś jeździłem często swoim wozem, sankami. Teraz oszczędzam konia. Przyjeżdżają



wybrać, do której chce jechać. Niektórzy wieszali je na wierzbach z różnymi głupimi podpisami. Wróciłem przez to do mojego starego sposobu: jak kto naprawdę chce się żenić, to pojedzie i zobaczy. Spodoba się, będzie kręcił dalej; jeśli nie — pojedziemy w inne miejsce.

Gdy Czesiek się żenił, to trafił do takiej, która koniecznie chciała chłopaka po wojsku. Mówiła: „Jak przeszedł wojsko, to znaczy, że prawdziwy chłop. I posprzątać umie, i jest energiczny, zdrowy, wysportowany”.

Właśnie Czesiek odsłużył wojsko, ale ktoś jej nagadał, że zapadł tam na wstydlawą chorobę. Żeby pan wiedział, jak długo musiałem ją przekonywać, aby w te brednie przestała wierzyć! To bardzo nieładnie, gdy przez złośliwość mają ludzie za długie języki.

W jednym miejscu chcieli oszukać mnie i kawalera. W Nowej Wsi to było. Z Jankiem wtedy jeździłem. W domu były dwie panny, podobne do siebie jak dwie krople wody. Jankowi bardziej podobała się młodszą. Wszystko toczyło się swoim torem. Byli jedne komplementa, drugie. Opatry. Umówiny. Ustallili liczbę gości, huczne weselisko. Ojcowie zapisali posag. „Janka na pewno już ożenię” — mówiłem sobie. Już miałem jechać do ślubu. Ja ci patrzę: a za młodość ubrana jest ta starsza. Mówię do Janka: „Zobacz, chłopie, kogo ci do ślubu szykują. Jak on nie

po mnie motorem, samochodem. W ubiegłym tygodniu ktoś był po mnie ciągnikiem. Ma być jeszcze jutro. To się przejadę, to się przejeżdżę. Pytam się, gdzie jest panna lub kawaler. Na jarmarku czasami się dowiem, na odpuszcie. Wybiore się na zabawę.

Dziś na wsi za bardzo nie ma gdzie się żenić. Wszystkie panny na lekki chleb by chciały. Odmawiają nawet bogatym gospodarzom, a do miasta poszłyby za każdego. Jeden kawaler ubrał już pannę do ślubu. Wszystko jej kupił: suknię, pierścionki, nawet futro. A ta później rozmyśliła się i wyszła za jakiegoś z miasta. Do dziś tego żałuję, bo na babiarza trafiła i pijaka. Gdy mnie spotyka, mówi: „Perkowski dobrze mi rał. Gdyby można było, to cofnąłbym to wszystko”. Odpowiadam jej: „Jeśli byś była mądra, to teraz cierp. Nikt na oszukaństwo szczęścia jeszcze nie zbudował”.

Dawniej to ja żenił do miesiąca, teraz — do trzech miesięcy. Żadna para mi się nie rozszła. Gdy dowiedziałem się, że coś między młodymi nie tak, jechałem godzić. Zwymyślałem kogo trzeba i znowu był spokój. Żadne wesele nie rozpadło mi się. Na opatrach, na umówinach, dopilnowałem wszystkiego: kto kupuje pierścionki, kto księdza opłaca, kto organistę, kto kościelnego za zapalenie świec, kto ile czego daje na wesele. Nieraz też służyłem prak-

tyczną radą przy ustalaniu posagu. Bywałem na każdym wyjeździe i weselisku. Przed wyjazdem do ślubu dawałem młodym dobre słowo i życzyłem, aby im zawsze Pan Bóg dopomógł. Gdy wracali od ślubu, zawsze polowałem, aby być drugim po rodzicach i złożyć im życzenia. Nieraz byłem na ślubie, nieraz przyjeżdżałem od razu na wesele. Wtedy mówiłem całemu aktowi weselnemu „pochwalonego” i „dzień dobry”. Wołali zaraz: „Rajek przyjechał! Wasz rajek przyjechał!” Namawiali do kielicha, ale ja, panie, zawsze wiedziałem, ile wypić. Oczy i uszy musiałem mieć otwarte zaowymi okazjami do wesela. Byli przecież kawalery, panny. Przeszkadzały mi w tym jednak największe pijaczyny: „Rajek, rajek, a ze mną nie wypijesz?” I tak czasami przebrała mi się miarka. Budziłem się naza-jutrz gdzieś w stodole na sianie, w chlewie pod żłobem, na łóżku w nieznanym pokoju. Przytrafiało mi się później wracać do siebie przez trzy, cztery dni.

Miałem też taki przypadek, że o wlos weselisko mi się nie rozpadło. Krajewskiego żeniłem w Nowej Wsi. Ktoś nabajał do rodziców panny młodej, że jej przyszył maż na troje dzieci. Przyjechałem do ojca i mówię: „Nie bądź głupi, człowieku. Ludzie ci mówią o tym Krajewskim, który ma na imię Czesiek. To rzeczywiście hulaj i niepoń. Żyje tylko z oszukiwania dziewczyn i prawie całą pensję oddaje już na dzieci. Krajewski, którego z twoją córką żenię, to Andrzej, i jest bardzo porządnym człowiekiem”. Ojciec kielicha ze mną strzelił, gości z drogi zawrócił, weselisko odbyło się.

W innym miejscu znow, w Nartolach to chyba było, młodzi i rodzice uzgodnili termin wesela i posag. Zaczęli zjeżdżać się goście. Przyjechał pan młody z wyjazdem, a tu rodzice panny młodej mówią, że się rozmyślił. Myślałem, że całą chałupę rozniosę! Jak nie wpadnę, jak nie walnę pięścią w stół: „Co wy się wygłupiały? Mówię wam, obśmiejcie swoją córkę, że nawet pies z kulawą nogą jej nie zechce. Pan młody się wykoszował. Toż to wstyd!” Zarząłem akurat w domu karmika. Wpadłem, wzięłem to wszystko, i wesele musiało się odbyć. Później przez wiele lat zwracali mi to z lichwą.

Jak zdobywam nowe adresy? Różnie. W niedzielę podchodzę do chłopaków, gdy stoją w grupkach i rozmawiają. Od razu zaczynają mówić na mój temat: „Wyrailby mi jaką”. Zaczynają od żartów, a później przyjeżdżają do mnie na podwórko i chcą jechać naprawdę. Teraz przeważnie żenię starszych. Młodzi coraz częściej radzą sobie sami. Lecz nie powiem, wielu jest jeszcze takich, którzy chcą do dziewczyny zajechać tradycyjnie, z rajkiem. Na kolonii, za kolonią, wszystkich trzech Dąbrowszczaków pożeniłem. Dołęgowieńkę w Moczydłach. Bielawskiego ożeniłem, Mrocza, Olka Wdzieńkońskich. Ze sto par chyba będzie, a może i więcej. Drugie pokolenie już tak żenię, bo ja, panie, jestem z roku 1900. Kiedyś przychodzili do mnie ojcowie, teraz przychodzą ich dzieci.

Moja żona miała mi to z początku za złe. „Pójdziesz, cholero, diabli wiedzą gdzie, i nie ma cię całymi tygodniami!” Sasiadki doradziły jej, by schowała mi ubranie. Zrobiła to, lecz zauważyłem, gdzie, i je wykradłem. Aby mnie nie zawróciła, złapałem to wszystko pod pachę i zacząłem uciekać. W spodenkach byłem tylko. Przez pola jeszcze mnie gonili, w lesie zgubiła ślad. Od tamtego czasu nie robiła mi żadnych przeszkód. Brałem ją nieraz na wesele, na wyjazd. Nie mieliśmy takiej wielkiej gospodarki, na której musiałoby aż dwoje robić: siedem hektarów, koń, dwie krowy i świnia, żdziebko kur.

Teraz mam więcej czasu niż dawniej. Gospodarstwem zajął się syn. Dokupił jeszcze pięć hektarów ziemi. Wybudował dom, chlewy, obore. Gdybym nie był rajkiem, na pewno nie miałby takiej ładnej żony.

Ile za to dostaje? Różnie: tyle, co zjem na weselu, nieraz metr, nieraz dwa metry pszenicy. Teraz na wszystko ceny podskoczyły, to i ja więcej biorę. Sa tacy, którzy płacą: 200-300 złotych. Kto hojniejszy, rzuci i pięć stów. Przejazd autobusem nie mnie nie kosztuje. Kiedyś wyciągałem pieniądze, lecz kierowca powiedział: „Rajek woźwódkę to też służbowa osoba i może jechać na koszt państwa”.

STANISŁAW ZIELIŃSKI

obcy czaje

Jest jedenasty lipca 1980 roku. W holu biurowca Zakładów Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego w Wysokim Mazowieckim wisi hasło: „Każdy z nas pracuje na wykonanie planu 1979 roku”. Ubiegłoroczny sezon przyniósł zakładowi deficyt. W tym roku nie wywiesza się już nowego hasła. Wiadomo, że z planem będą kłopoty. Ulewne deszcze uniemożliwiają zbiór truskawek. Stan plantacji jest bardzo zły. Praktycznie nie ma żadnych szans na to, aby uległa poprawie ilość i jakość zbiorów. Do tej pory wykonano niecałe dziesięć procent przerobu. Drugi rok z rzędu nie udają się czereśnie. Bardzo słabo zapowiadają się zbiory runa leśnego. Już w tej chwili istnieją poważne obawy co do ogórków. Pojawiła się rdza. Plantacje znajdują się pod wodą. Po cichu liczy się na to, że część deficytu pokryją czarne i czerwone porzeczki oraz śliwki. Resztę, niestety, trzeba będzie nadrobić produkcją wina.

Kłopoty z aurą to jeszcze nie wszystko. Zakład cierpi na chroniczny niedobór fachowej kadry. Wydawałoby się, niewielki problem: czterech specjalistów z zakresu mechaniki i energetyki. Tylko skąd ich wziąć? Zakład nie może „kontraktować” absolwentów. Przydział dostaje z Centrali. Umowę przedwstępna wysyła na ślepo, bez widzenia człowieka. To się nazywa „realizacja rozdzielnika”. A więc wysyła umowę. Potem jest długo, długo cisza, i nikt nie przyjeżdża. Wystarczy, że popatrzyli na mapę. W ubiegłym roku dało się sprowadzić małżeństwo po Politechnice Białostockiej. Popłatna, dobra praca. Mieszkanie. Należało spodziewać się, że będą to wystarczające atuty. Tymczasem młodzi obejrżeli miasteczko i zrezygnowali. Kiedyś modne było powiedzenie, że „inżynier woli sprzedawać gazety w Warszawie niż dyktować na prowincji”. Chyba warto byłoby je jeszcze zaktualizować, z tą drobną korektą, że miejsce Warszawy załajby Białystok, Łomża itp.

KOMPOT ZE ZGNIŁEJ TRUSKAWKI

Od roku 1976, po włączeniu zakładu do przemysłu kluczowego, do tyłu innych — doszedł problem transportu, który został podporządkowany Przedsiębiorstwu Spedycyjnemu w Łowiczu. Drastycznie zmalała liczba środków przewozu (nie wymieniamy się sprzętu całkowicie wyeksploatowanego), pojawiły się kłopoty ze zwózką surowca. Zakład zmuszony został do szerszego korzystania z usług Państwowej Komunikacji Samochodowej. Pekaes żąda dalekich tras i dużych ładunków, podczas gdy większość kursów należałoby kierować niedaleko, często polnymi lub leśnymi drózkami, bez gwarancji, że wykorzystany zostanie pełny tonaż samochodu. Trudno tu znaleźć rozsądne rozwiązanie. Najwięcej pretensji kieruje się jednak pod adresem Przedsiębiorstwa Spedycyjnego w Łowiczu. Jeżeli jest ono w stanie pokrywać w osiemdziesięciu procentach potrzeby transportowe Tarczyna, dlaczego w przypadku Wysokiego Mazowieckiego czyni to jedynie w dwudziestu? Zapewnienie dobrego transportu to przecież statutowy obowiązek przedsiębiorstwa. W Wysokim Mazowieckim ironizują: „Z transportu został nam tylko sztyd — Przedsiębiorstwo Transportu i Spedycji w Łowiczu, Oddział w Tarczynie, Baza w Białymstoku, Zajezdnia w Wysokim Mazowieckim”. Jak tu dojść tyłoma niemi do kłębka?

Zakłady czeka rozbudowa. Dodajmy — wyczekiwana z utęsknieniem. Pięćdziesiąt procent stanu stanowią budynki adaptowane. Jakiś magazyn, jakiś skup surowców wtórnych. W halach co najwyżej mała mechanizacja. Skutki? Nie ma warunków nie tylko na miarę ambicji, ale nawet bardzo skromnych potrzeb. A przecież istnieją olbrzymie możliwości zwiększenia produkcji. Także tej eksportowej, do drugiego obszaru płatniczego. Pytanie tylko, czy opłacalne dla zakładu. Jednak ceny eksportowe, nie zawsze najsluszniej, ustala Zjednoczenie Owocowo-Warzywno w Warszawie. Zakład związany umową z Centralą Handlu Zagranicznego rozlicza się tylko z ilości. Dyskutować zaś może jedynie co do terminów.

ALEKSANDER WRONISZEWSKI

ino kurz spod kopyt

W zeszycie przyjęć wszystko jest zapisane skrupulatnie: „Ochwat”, „Kulawizna”, „Brak apetytu (po porodzie)”. Także ropomacie, biegunka, kaszel, poród — co tylko zlego zwierzę spotyka. Czasem w ciągu dnia przybywa tych pozycji 50, 100, a nawet więcej.

Tadeusz Wyszynski, rolnik z Ciechanowca, mówi, że jak mu koń zachoruje, to go samego aż w dolku ścisła. Przejęty chorobą zwierzęcia — zaklina się że prędzej sam by nie zjadł, niż koniowi nie dał.

To zwierzę ma zresztą w ogóle szczególne względy.

Mechaniczny mechanicznym, a żywy też być musi — powiadają na wsi. — Na ten przykład, jak mechaniczny nawali, to choćbyś, człowieku, jak bób przed nim się splakał, białą i kłął, nie ruszy! Co innego koń: łagodnie mówisz, idzie wolno, krzykniesz, że ino kurz spod kopyta leci. Tyle że jak zachoruje...

Wtedy się dzwoni albo jedzie do Lecznicy w Ciechanowcu. Jest nowa, zaledwie dwa lata minęły od jej zbudowania. W porównaniu do poprzedniej, przez lata działającej w starej wozowni, jest tu pełny komfort: dobrze wyposażona, ze specjalnymi chłodniarkami, z apteką i salą operacyjną z prawdziwego zda-

żenia; są mieszkania dla personelu, a nawet pokoje gościnne i dla stażystów. Jest także suszarnia i pralnia z najnowszymi cudami techniki, gdzie do śnieżnej białości doprowadza się najbardziej zabrudzony far-

— Dbalność o higienę to w naszej pracy jedna z podstawowych zasad — mówi kierownik Lecznicy, Jan Bondarenko, i nie jest to w tym przypadku tylko deklaracja.

Gdy mają stąd przyjechać do zagrody — wtrąca przysłuchujący się temu rolnik — to wiadomo, że musi tam być ekstra czystość. Inaczej nie ma o czym gadać. Tylko że w tym roku brak pościół, więc nie jest całkiem tak, jak trzeba. Konia to i w tych warunkach się upilnuje; gorzej z krowami i świniami.

Wzywają lekarzy do zwierząt kaszlących, zakatarzonych, lejących łzy jak fasola. Przewożą też sami zwierzęta schorowane, wystraszone, które o swoich boleściach powiedzieć nie mogą. Jedne trzeba szepnąć, inne odrobaczyć czy odmotylić. Dużo osób zgłasza się z lisami srebrnymi, których hodowlę podejmuje się coraz częściej.

Na zabiegowym jest właśnie lisica, która ma poważne komplikacje z okoceniem. Nasuwa mi się reflek-

sja: czy udzielając jej pomocy — niesie się ulgę matce-lisicy, czy hodowcy futerek? Takie pytanie musiałoby jednak być obraźliwe dla tych, którzy zawód lekarza weterynarii traktują nie mniej poważnie od „ludzkiego”. Można by, rzecz jasna, spierać się o skalę odpowiedzialności w jednym i drugim przypadku, ale czy warto? Ważna jest świadomość, że i tu, i tam chodzi o życie.

W Lecznicy zgromadzono już około 400 pojedynczych eksponatów — starych narzędzi, mikroskopów, dzieł z dziedziny weterynarii, dokumentów i pamiątek, pisanych przez praktykujących na wsi i uczonych. Część z nich pochodzi od żony Tadeusza Jastrzębskiego, wybitnego epizootologa i pedagoga, którego imię nosi Lecznica dla Zwierząt w Ciechanowcu. Korzystając z sąsiedztwa znanego mecena-sa działalności wystawienniczej — Muzeum Rolnictwa im. K. Kluka — planuje się utworzenie stałej ekspozycji, która by była kolejną kartą ilustrującą rozwój polskiego rolnictwa, dziedzin z nią związanych i praktyki weterynaryjnej. Miejscem jej będzie stara wozownia, za-bytkowy obiekt, w którym niedawno jeszcze mieściła się Lecznica. Stanie się to możliwe po zakończeniu, trwających tu obecnie, prac konserwatorskich i remontowych.

NINA OMELCZENKO
Fot. GABOR LÖRINCZY



cy —
zy ho-
e mu-
e dla
veter-
ważnie
ecz ja-
powie-
przy-
a jest
odzi o

z oko-
ów —
kopów,
doku-
sanych
i u-
zizi od
wy-
lagoga,
a dla
Korzy-
ecena-
ej —
Kluka
ej eks-
kartą
rol-
zanych
Miejs-
ia, za-
iedaw-
cznica.
ończe-
prae
ych.

ENKO
NCZY

Za sprowadzone w tym roku zbo-
że i artykuły rolne przyjdzie nam
zapłacić prawie dwa miliardy dola-
rów. To suma astronomiczna dla
przeciętnego człowieka i znacząca w
bilansie handlu zagranicznego. Wy-
datki dewizowe na zakup pasz mu-
szą być obecnie znacznie ograniczo-
ne. Nie uda się, oczywiście, nigdy
radikalnie wyeliminować udziału
importowanych z menu pol-
skich krów i trzody. Tymczasem
szukanie sposobów zwiększenia ich
produkcji najczęściej sprowadza się
do wypatrywania pomocy z zew-
natrz — spoza własnego gospodar-
stwa. Zapewne większość z wypuk-
kutowanych przez rolników utrud-
nień rzeczywiście przyczynia się do
obniżenia wydajności upraw. Nale-
ża do nich m. in. decyzje o charak-
terze administracyjnym, jak na
przykład obowiązuje, a nie do-
stosowane do potrzeb poszczegól-
nych województw, kryterium roz-
działu maszyn rolniczych. Efekt jest
taki, że w jednym województwie
stoją one w magazynach (jeszcze
częściej na wolnym powietrzu — i
rdzewieją), w innych zaś rolnicy nie
mogą się ich doprosić. Wielu łom-
żyńskich gospodarzy udaje się po
maszyny do odległych miast na pół-
nocy i zachodzie Polski, gdzie naby-
wają je przeważnie od ręki i na
własny koszt transportują do swo-
ich zagrod.

Z podanego przykładu nie wynika
wcale, że sprzęt mechaniczny jest
pod dostatkiem, a brakuje tylko
rozsądnych kryteriów przydziału.
Często nie wystarcza nie tylko cią-
gników czy maszyn, ale również naj-
prostszych narzędzi, łącznie z przy-
słowiowymi widłami, nie mówiąc o
materiałach budowlanych, tak po-
trzebnych na silosy i budynki in-
wentarskie.

Jak więc zaspokoić rosnące zapo-
rzebowanie na żywność? Okazuje
się, że jest wiele prostych sposobów,
nie wymagających uciekania do me-
tod „zielonej rewolucji”, czyli spro-
wadzania bardzo wydajnych odmian
zboż, rosnącego w oczach bydła czy
radikalnej zmiany nawożenia. Naj-
częściej wystarczy staranniejsza u-
prawa znanych rolnikom odmian
zboż, okopowych czy traw, termino-
wy ich zasiew, stosowanie lepiej
dobranych nawozów i bardziej ra-
cjonalne żywienie zwierząt.

Najbardziej czułym miejscem na-
szego rolnictwa jest tradycyjny spo-
sób konserwacji i przechowywania
pasz. W warunkach województwa
łomżyńskiego, gdzie bez mała 30
proc. powierzchni uprawnej zajmu-
ją trwale użytki zielone, uzyskanie
dobrej jakości paszy w dużej mie-
rze zależy od terminowości prac.
Jeśli ktoś przetrzymuje nie skoszo-
ną trawę, zbiera zazwyczaj siano
o znikomej wartości pokarmowej.
Jest to jedna z przyczyn wyróżnia-
nia się województwa łomżyńskiego
ogromną sezonowością w udoju mle-
ka. Bywa, że w okresie zimy pro-
dukcja mleka spada o połowę w sto-
sunku do miesięcy letnich. Aż tak
poważnych różnic w mleczności nie
ma tam, gdzie rolnicy dbają o łąki
i uzyskują dwa pokosy dobrego sia-
na, a z trzeciego robią siano-kiszonki
lub kiszonki, które niwelują straty
w jego wartości, poniesione w okre-
sach złej pogody.

Bardzo korzystne jest też dosu-
szanie siana wentylatorami. Do ich
instalowania nie trzeba już rolni-
ków namawiać. Składają na nie za-
mówienia, otrzymują przydziały i...
często na tym się kończy, bo wen-
tylatorów po prostu brakuje.

Niedostatek cementu odstraszył
ich od budowania silosów. Niechę-
tnie i rzadko zabierają się też do
sporządzania kiszonek metodami go-
spodarskimi, mimo że mogliby w
ten sposób zakisić przynajmniej
część zielonej masy. Nawet młodzi
rolnicy nie korzystają z istniejących
w ich gospodarstwach możliwości.
I opuszczają ręce, choć są znani z
wielu pomysłów i rozwiązań. Przy-
kładów na to nie brakuje. Oto nie
mogąc liczyć na szybkie przepro-
wadzenie robót renowacyjnych —
sami przystępują do ich wykonania.
Od służby rolnej oczekują jedynie
zapewnienia dostaw niezbędnych
materiałów i fachowej rady. Za-
zwyczaj spotykają się z milczeniem.
Narzekają więc na fachowców ze
spółek wodnych, a ci tłumaczą się
trudnościami ze znalezieniem ludzi
do konserwacji urządzeń meliora-
cyjnych (twierdzą też, że prymityw-
ne narzędzia, będące w ich posia-
daniu — łopaty i kosy — przydat-
ne są bardziej do uprawiania pod-
miejskich działek niż dużych obsza-

rów użytków zielonych). Lecz naj-
istotniejszy w tym przypadku jest
chyba fakt, że przez obojętność
służb rolnych niweczona bywa wo-
la czynu wśród rolników.

Nawet przy tej ilości użytków zie-
lonych, jaka jest w województwie
łomżyńskim, trzeba sięgać do no-
wych upraw roślin nadających się
na kiszonki. Już obecnie wielu rol-
ników sieje kukurydzę na obszarach
większych niż planowano. Nic dziw-
nego: roślina ta dobrze plonuje, a
jako kiszonka — jest konkurencyj-
na w stosunku do wielu innych
pasz. Z jednego hektara owsa (przy
plonie 30 kwintali) uzyskaloby się
zaledwie 25 proc. tego, co może
dać z tej samej powierzchni kuku-
rydza. Korzyści są również wyraźne
w porównaniu z innymi zbożami —
jęczmieniem i pszenicą. Ale i tu
nie obchodzi się bez problemów.

Ponieważ nie wystarcza specjali-

ro parę tygodni później przyszły
rachunki wystawione według nowe-
go taryfikatora. Tych, którzy już
uprawiali kukurydzę i nabrali do
niej zaufania, pewnie ten incydent
nie zrazi. Istnieje jednak obawa, że
przed jej wprowadzeniem powstrzy-
mują się kolejni gospodarze.

Ostatnie tygodnie w przykry spo-
sób przypomniły nam o zależności
rolnictwa od warunków pogodowych.
Poniesione straty mogą jednak zo-
stać wyrównane, jeśli natychmiast
przystąpi się do wykorzystania
wszystkich — powiedzmy umownie
— awaryjnych sposobów produkcji
pasz. Możliwie jak najszybciej na-
leży usunąć przede wszystkim sko-
szoną zielonkę z łąk (aby ułatwić
wzrost runi drugiego pokosu) i za-
silić ją nawozami mineralnymi, po-
czym złożyć w silosach lub na pry-
zmach. Jeśli rolnikowi uda się ją
zwieźć w maksymalnie krótkim cza-

dolary na widłach

stycznych maszyn, nikt nie przy-
jmuje na siebie zobowiązania termi-
nowego zbioru i zakiszenia kukury-
dzy. A nawet tam, gdzie maszyny
są — częste awarie uniemożliwiają
uwinięcie się na czas ze zbiórka tej
rośliny.

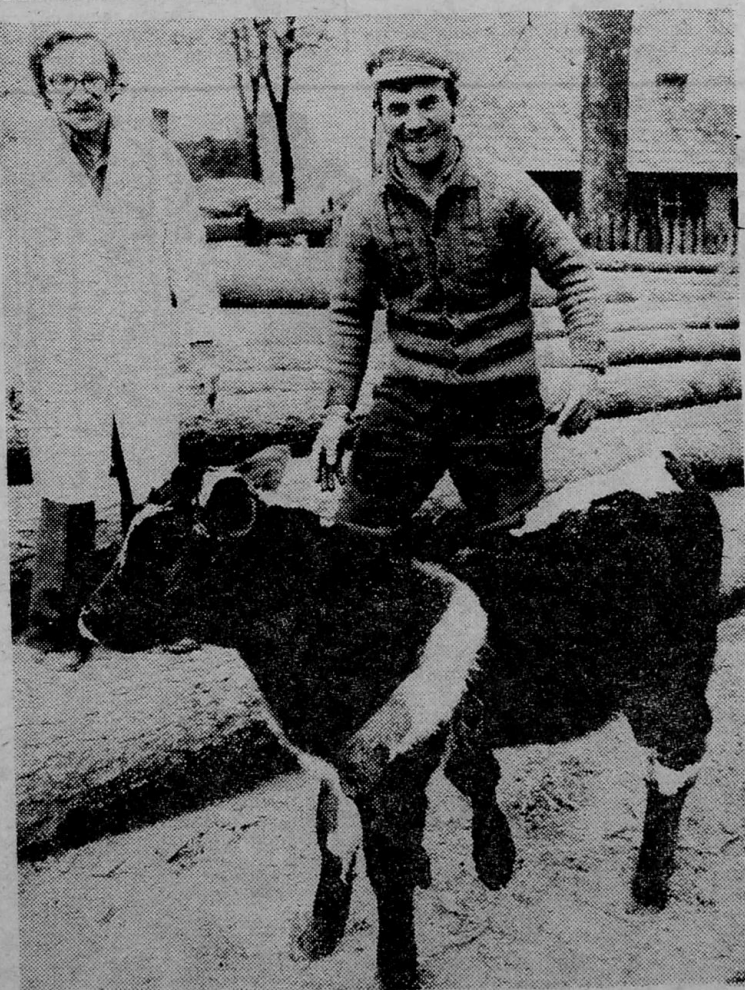
Mimo że chętnych do uprawy ku-
kurydzy jest coraz więcej, to już da-
ją się słyszeć głosy pełne obaw i
sceptycyzmu. Zanepokoje np.
wywołały zmiany w końcowym roz-
liczeniu należności za sprzęt kuku-
rydzy z pola, dokonane niezgodnie
z zasadami samorządności wiejskiej.
Nie dość, że zapomniano o konsul-
tacji z rolnikami, choć okazji po-
temu nie brakowało, to jeszcze rzecz
całą przeprowadzono (mówiąc naj-
delikatniej) nieelegancko. Nie
wspomniano o jakiegokolwiek zmia-
nie: ani podczas zapisywania się
gospodarzy na uprawę kukurydzy,
ani też w czasie jej zbioru. Dopie-

się i bardzo mocno całość ugnieść
— wówczas powstanie szansa na u-
ratowanie przynajmniej części zielo-
nej masy z pierwszego pokosu.

Wielu pewnie zechce niedobór
pasz uzupełnić poplonami ścierni-
skowymi. Znaczne opóźnienie w żni-
wach mocno utrudni realizację te-
go zamiaru, ale gra warta jest wy-
silków. Podstawowym gwarantem wy-
równania braków w zielonej masie
pozostaną poplony ozime. (Chyba w
tym roku niewielu rolników prze-
gapi tę możliwość). Podobnie w ce-
nie (jako pasza) będzie na pewno
słoma.

Pozostaje liczyć przede wszystkim
na własną zaradność. Ten trudny
rok pokaże raz jeszcze, jak wiele
zależy od samego rolnika, jego po-
mysłowości i gospodarności.

LECH GIZELBACH



W zagrodzie rolnika Adama Ciecierskiego w gminie Trzecie urodził się cielak z sześcioma nogami. W kregach zbliżonych do weterynarii to niecodzienne zjawisko interpretuje się jako zapowiedź nadejścia czasów, w których już cztery nogi do dobrych chodów nie wystarczą. Fot. Gabor Lőrinczy.



RACHUNEK BRAKÓW

Eugeniusz Siennicki, kierownik
Zakładu Usług Mechanizacyjnych w
Dąbrowie Moczydłach (gmina Sze-
pietowo): — Niepokoją nas dwa
problemy: brak części zamiennych
i zła pogoda. Mamy tylko trzy kom-
bajny „Bizon” i dwie snopowiązał-
ki. Jeśli wreszcie pogoda się po-
prawi, żniwa powinny przebiegać
bez większych kłopotów — do akcji
wejdą kombajny. Jeśli nie — dwo-
ma snopowiązałkami trzynastu wsi
szybko nie obrobimy. Brak części
zamiennych do maszyn jest dla nas
bardzo dotkliwy. Snopowiązałki i
ciągniki stoją i marnują się, przy-
spieszając proces kasacji. W ostat-
nich pięciu latach wypadło skaso-
wać cztery snopowiązałki. Do cią-
gników brakuje filtrów olejowych,
łożysk, przerywaczy kierunkowska-
zów. Zakład nasz kontrolował dwa
czy trzy lata temu przedstawiciel
CZKR-u. Sygnalizowaliśmy wtedy
o tych problemach. Udzielił rady,
by liczyć raczej na siebie. Cenna
to wskazówka, lecz w tym przypad-
ku trudna do wykonania. Rolnik
wymaga od nas maszyn sprawnych
argumentując, że właśnie za to
przez cały rok dostajemy pieniądze.
Niewiele obchodzi go nasze obiek-
tywne trudności. Rozumiemy go. On
zboże sprzątnąć musi. (wk)



NAJLEPIEJ NARZEKAĆ

Czesław Dołęgowski, sołtys wsi
Dąbrowa Moczydły: — W tym roku
ziemia tak rozmiękla, że trudno bę-
dzie żniwować kombajnami. Ugrze-
żna. Problemem jest też suszenie
ziarna. Znaczną część odbiorą Pań-
stwowe Zakłady Żywnościowe. Lecz jak
wysuszyć zboże, które rolnik zоста-
wi na swoje potrzeby? Problem ów
przestanie istnieć, jeśli zboże skosi
się snopowiązałką. Jest lżejsza, nie
niszczy słomy, i dobrze w snopach
schnie ziarno. Sympiam spokojnie, bo
mam własną snopowiązałkę. Nato-
miast zmartwienie mają ci rolnicy,
którzy nie posiadają własnego sprzę-
tu i zmuszeni są liczyć na usługi
SKR-u. Bo w tym roku najnowszy
sprzęt żniwny na pola nie wieździe,
a snopowiązałki mają tylko dwie.
Kiedyś było ich więcej, ale jeśli się
na czas nie posmaruje, nie zadba...
Jak roboty nie ma, to ci z SKR-u
objają się, piją piwo, wódkę. A gdy
przychodzi akcja żniwa, to wtedy
galopem: na łep, na szyję, aby szyb-
ciej. Nie zawsze też robą według
kolejności zamówień. Nieraz rolni-
kowi przychodzi przypominać się im
przez tydzień, dwa, a wiadomo: w
czasie żniw jest to ogromna strata
czasu.

Po co dokonywać kasacji maszyn
i oddawać je na złom, jeśli tylko
brakuje im części zamiennych? Mnie
jak brakuje jakiejś części, to cała
wieś o tym wie. Spytam się jedne-
go sąsiada, drugiego. Jeśli nie ma-
ją, jadę do POM-u, gdzieś na zło-
mowisko, i zawsze coś wyszperam.
Kowala w tym głowa, aby pasowa-
ło. Gdybym postępował tak, jak oni,
nigdy bym z plugiem w pole nie
wyruszył! Siennicki to w miarę so-
lidny chłop i przynajmniej pozory
stwarza, że chce coś zrobić, ale o
niektórych traktorzystach lepiej nie
mówić. (sz)

punkt widzenia

kur jeszcze w

DOKONCZENIE ZE STR. 1

taku, odfajkują swoją ehojkę w planie, zaorzą, szkółkę w tym miejscu zrobią i nawet świeczki nie będą gdzie zapalić.

Tak, wszystko to mogłbym pamiętać, gdybym...

Mogę też od tych resztek Puszczy Zielonej odwrócić plecami, z ojcem nie targować się o liche morgi żyta, wyprostować plecy po wykopkach, spakować manatki, wsiąść w pekaes i wylądować w hotelu robotniczym w Łomży, albo w Ostrołęce, lub jeszcze dalej, w Białymstoku, taki jestem, że mogę to zrobić, ale nie muszę, bo jestem człowiek wolny, Kurp jestem i mogę siedzieć tu, jak ojciec, jak dziad, jak pradziad, i mieć czerwony surdut sukienny, stary, kurpiowski, i wranglery z peweksu, jak syn Kulasów, i, jak kiedyś ojciec, postawić własnymi rękoma nowy dom tak, by sosny cieniem się kładły na całe obejście, i, jak zięć Kozłów, mieć w tym domu łazienkę z wodą z kranu, jak ojciec — trzymać świnki, nie jedną, a trzydzieści, i do lasu chodzić nie po ściółkę, a tak sobie, powiem ci więcej, mogłbym pilarem zostać albo i lepiej, gajowym, mogłbym dyplom inżynierski zrobić i kierować nadleśnictwem.

To wszystko mogłbym zrobić.

Teraz, kiedy już wiesz, jaki jestem, żyjący tu między Orzycem a Pisz, powiem ci, gdzie możesz mnie znaleźć. Pytaj o mnie w Morgownikach, Gawrychach, Nowogrodzie, Zbójnej, Lysych, Dudach Puszczańskich, Żalasie, Dębach, Serafinie, Kuziach. Szukaj na nadbrzeżnych łąkach Narwi, Szkwy, Rozogi, Omulewu, po samotnych osadach leśnych. Tam mnie znajdziesz. Bo gdybym...

Gdybym był Ptakiem, Bronisławem, starym już człowiekiem, i spotkał cię u progu mego domu w Dudach Puszczańskich, i gdybyś spytał mnie, co zrobić, pokazałbym ci ten kijek, który strugam, bo tylko tyle we mnie siły, za plugiem już nie chodzę, ziemię przepisałem na córkę i czekam na urzędową emeryturę, codziennie czekam na ławeczce pod okapem, czasem córka z zięciem wpadnie, pomaga, wnuczka teraz u mnie, gospodynią mi, bo żona też nie ma siły, tak

ten las z człowieka soki wyciągnął, odebrał swoje za to, że się go chciało przechrzyć, ściółkę bezbożnie wygrabić, rąbać, wydzieścić piachy pod żyto, a dziś sam tych zagonów nie obrobisz, ciągnik z eskaeru musi przyjeżdżać, a dawniej nie tak było, żeby obcy u Ptaków musiał pracować, co by miał zresztą do roboty na tych kilku morgach, jak wyszliśmy razem w pole, ojciec, bracia i kobiety, fłok był, a ziemia i tak nie chciała dać więcej, chodziliśmy więc do pana leśniczego najmować się, żywić ciągnąć, las rąbać, a dalej spławiano nasze puszczańskie sosny Narwią do Wisły i przez Wolne Miasto Gdańsk do Anglików, musiały być w cenie, bo pan leśniczy chciał nas z ojcem rugować na kolonię, żeby tu lasy państwowe sadzić, i ojciec do sądu poszedł, spór założył, trudna była sprawa, bo nikt wówczas nie wiedział, gdzie przed pierwszą wojną carski las się kończył, a gdzie był nasz, kurpiowski, las ludzi wolnych, królewskich od kilkuset lat na tej ziemi, tak mówił ojciec, jego ojciec i ja opowiadałem teraz wnucce o królu, który polując w puszczy, pewnego razu usłyszał rankiem pianie koguta i rzekł, tam muszą być ludzie, bo kur pieje, kurpieje, kurpie i tak już zostało, nawet Niemiec nie dał nam rady, choć wycinał wszystko dookoła, by nas stąd wykurzyć.

Gdybym był Deptułą, ostatnim z bursztyniarzy, pokazałbym ci te miejsca, gdzie Kurpie kopali ten dziwny kamień, bo był w tych lasach, był na pewno, jak były bartnie pełne miodu, ale pszczoły uciekły przed chmurami nawozów rozpylanych samolotami, czaple też się gdzieś pochowały, klekotu na bagnach nie usłyszysz, a łos chodzi ostrożnie, też pewnie odejdzie z ostatniego swego schronienia na bagnie Łokieć, odejdzie, a za nim przyjdą ludzie z piłami motorowymi, ciężkimi ciągnikami do zrywki, zajeżdżą, zdeptają, zniszczą arnie, konwalie, czermień, sasankę, widłaki, paprocie, nie będzie puszczy, a tylko planowo sadzone krzaki, co będzie lyse, to zmeliują tak, że woda nam w studniach wyschnie i na koniec owad rzuci się na ostatnie drzewa, zeżre do końca wszystko, czego nie przerobią na papier,

plytę wiórową i kopalniaki, ostanie się tylko nowogrodzki skansen i trochę drzewek, które nazwą rezerwatem.

Gdybym był Lepszą, opowiedziałbym ci historię człowieka, który z szubienicznego sznurka się urwał, ganiał ze stenem po lasach, miał wyroki, który żył pełnią tej puszczy, przygarnięty i zaakceptowany przez nas, Kurpiów... gdybym go znał, opowiedziałbym ci o inżynierze leśniku, który tu trafił przed trzydziestu laty, ścinał i leczył ten las, budował osady, nauczył nas robić cegłę piaskową, wypalać pełnią, czerwona, dał nam pracę, dbał o nas, robotników leśnych, tepił złodziei, nie patrząc na to, czyś zwykły, czy gajowy, brał się za wszystko, co by mogło pomóc tej puszczy i jej ludziom, i taki jest do dziś, choć teraz nogi bezwładne... Gdybym był Władkiem, licealistą tamtego września, obrońcą Grodna, nie uwierzyłbyś, że las znalazłem tylko z harcerskich wycieczek, że wówczas nie przypuszczałem, iż będę musiał stać się Lepszą, nie pokazał ci świadectwa leśnej matury i dyplomu tajnej podchorążówki, było, minęło, szubienicznego sznurka też nie zdążyłem zabrać na szczęście, bo uciekłem, i nie myśl, że za to ten krzyż Wirtuti Militari, nie ma co wspominać, ani warszawskich lat studiów, ani pierwszego cywilnego wyroku za odgromniki, które kazałem instalować w osadach leśnych, a pamiętaj, były to czasy, że donos rzecz święta, wracam kiedyś na motorze z Nowogrodu, były to lata pięćdziesiąte, moi z administracji wściekli, że im po łapach dalem, kiedy je wyścigał po państwowe, zaczęli się na drodze, dali po łbie i na szyny zaciągnęli, lecz nie mieli szczęścia, ludzie inni znaleźli, skończyło się trepanacją czaszki, i kiedy jeszcze leżałem w szpitalu, rozrobili mi sprawę z odgromnikami, że niby nie było nadużycia, ale mogło być, jak sąd się zaczął grzebać w sprawie, wyszły ich grzeszki, nie moje, i pożegnaliśmy się, mnie trudno złamać, nawet teraz, na wózku, nie chodzę, ale jestem wszędzie, muszę być, muszę pracować, muszę istnieć, jak ten Kurp, twardy i odporny, jak ta puszcza niszczona i

odrzucająca się, choć robak się do niej dobiera, choć mniszka brudniaka atakuje, choć kaza mi ten las iść i dają takie plany, że masz nie starcza i trzeba zwać z następnej dziesięcioleć, lecz powiem ci jedno, robię wszystko, by nie zostały po mnie puste rękawy śródleśne, i mam nadzieję, że dokonasz budowy nowego nadleśnictwa, tak bardzo chciałbym... Gdybym był Władysławem Lepszą, nadleśniczym w Morgownikach, pokazałbym ci zaświadczenie z konstancińskiego szpitala i opinię profesora Weissa, adresowane do moich władz okręgowych w Białymstoku stwierdzające, że mimo tych nóg, mogę pracować, i, jak napisał profesor, na tym samym stanowisku, teraz staram się nie pamiętać tamtego dnia, kiedy wyciągnęło mnie z kupy żelastwa wbięte w drzewo, nie siadam teraz koło kierownicy, sam prowadzę, zamiast pedałów dźwignia, i jeszcze mam nadzieję, jak myślisz, stanę kiedyś na nogi?

Gdybym był Ceberkiem, tym z Wykrotu, Staszkiem dla swoich, opowiedziałbym ci kilka anegdot, którymi weselnymi gości zawsze bawię, postawiłbym na stoł dobre sero z czosnkiem i baniek swojskiej, dał komendę „ognia” i każdy Kurp od Nowogrodu po Kolno i Myszyń nie mógłby zaświadczyć, że nie zmyślam, że naprawdę z królem dewizowym piłem na polowaniu, zaprosił mnie z nadleśnym Lepszą na drinka, a tłumaczka, dzieć ludowej demokracji, szczerbocze, czy aby wiem, że z królem się trącam, na to ja, a czy jego królewska moc świadom, że w moich ceberkowych żylach również błękitna krew, co to ja dawnymi czasy polscy królowie przy okazji polowań chętnie mieszały z krwią co ładniejszych Kurpianek, tak mu powiedziałem, w resztę naszej historii nie wtajemniczając, bo o czym tu mówić, o wspaniałych, wolnych rzemieślnikach, cieślach, stolarzach, garbarzach, smolarzach, którym przyszło po rozbiorach coraz głębiej w las się chronić przed zachłannym Prusakiem, przed jego siekierami, którymi naszą puszcze rąbał, bo wiedział, że w ten sposób podcina nam korzenie, a każdy następny po Prusaku kontynuował jego dzieło, marniał las, marnieli lu-

penetracja puszczy



puszczy pieje

dzie, pierwsza wojna dzieło zniszczenia posunęła jeszcze dalej, a później samym słowem „niepodległość” trudno było sobie napchać kieszki, po osadach korę brzożową z perzem mieloną na placki przerabiać, bo chleb się kończył na Wielkanoc, i trudno się dziwić, że w dwudziestym czwartym skończył się jeszcze wcześniej, kilka tysięcy ludzi zgromadziło się w Turośli i poszło na starostwo w Kolnie, żądając niższych podatków gruntowych, a wielu szło wówczas boso, dając świadectwo ubóstwa Kurpia... Gdybym o tym nie wiedział, pewnie bym założył buty, kiedy raz do Wykrotu przyjechał reporter, widzi mnie idącego boso prosto z pola i pyta, czy nie wiem, gdzie można spotkać posła Stanisława Cebra, to ja, mówię, a on jakby języka zapomniał i patrzy ze zdumieniem na moje nogi, niech pan też zdejmie buty, mówię, będzie się nam lepiej rozmawiało, jak równy z równym, nie, przyjacielu, mówię, to już nie te Kurpie, zajrzyj do domu handlowego w Lysych i zobacz, jak ludzie w butach przebiegają, bo takie, bo siakie, bo niemodne, tak, przyjacielu, na palcach jednej ręki można dziś policzyć tych, którzy jeszcze potrafią sporządzić kurpiki z lyka, na męskiej, skórzanej podszewie, takie prawdziwe, nie cepeliowskie, bo pamiętaj, że to, co po wierzchu widać, jest cepelia, fałszywą siermiężnością, a autentycznego szukaj daleko od szosy, po chatkach w Zalasie, Kuleszach, byle głęboko w lesie.

Gdybym był Janem Kuleszą i tak jak on na pół Kurpiem, na pół Mazurem, gdybym tu, pod Nowogród, wrócił po blisko pół wieku i zatrzymał się na kilka lat naukowych badań, pokazałbym ci dom, który mój ojciec postawił w Kuleszach, piękny, bogato zdobiony, kurpiowski dom, zaprowadziłbym cię też



do ostatniego z Lutrzykowskich, który korabie budował, drzewo do Gdańska Narwią i Wisłą spławiał, pokazałbym ci wzgórze Ziemowita w Nowogrodzie i skansen na nim założony przez Adama Chętnika, Kurpia z Kurpiów, sławnego naukowca, powiozłbym cię do Dębów, do Władka Lepszy i pokazał, co może jeden człowiek zrobić dla tych lasów zdegradowanych w ciągu dziesiątków lat, a po wojnie lysych, bez ściółki, bez ptaków, bez zwierzyny, a teraz ożyłych, sam możesz zobaczyć, iż mimo tej planowej rąbaniny, mimo że dąb trudno dzisiaj spotkać, a woda ucieka po każdej melioracji, las jednak żyje i nie chce ginąć, jak nie chce ginąć ptactwo na leśnych bagnach, jak nie chce zdychać ryby w Narwi... Gdybym cię spotkał tamtego lata, kilka dni po awarii w Łomżyńskich Zakładach Ziemiannych, zabrałbym cię nad rzekę i pokazał ławicę zniecieruchomiałych kiełbi i leszczy płynących Narwią, i te bociany, które w dziesiątym dniu po zatraciu rzeki i spłynięciu brudno-szarej wody zaczęły gromadzić się na nadbrzeżnych łąkach koło Morgownik, by po trzech dniach odlecieć, w środku lata, w nieznane, wyobraź teraz sobie kurpiowskie chaty z pustymi bocianimi gniazdam, wyobraź sobie, jakie to szczesście, że nikt w tej puszczy nie odkrył choćby węgla, nie wyciął jej w pień, nie zbudował w jej środku miasta, pomyśl, czy wówczas ktokolwiek by pamiętał, że tu kiedyś, jeszcze u progu lat osiemdziesiątych, żyli współcześni Kurpie, rolnicy, robotnicy leśni, cieśle, stolarze, potomkowie wspaniałych żołnierzy, królewskich bartników, wolnych leśnych ludzi.

Gdybym był...

JERZY GONCZARSKI
Fot. GABOR LÖRINCZY



— Cicho, dzieci — straszył zebranych doktor i zaproponował wypić kieliszek wina. — Nie jest wesoło. Młodzież nam się buntuje, a starsi urządzają seanse z duchami.

— Serio, papo?

— Nasz pastor dostał na tym punkcie bzika. Opowiadał, że rozmawiał z Napoleonem, który zapowiedział klęskę Europy pod Moskwą i zajęcie Warszawy przez bolszewików.

— Romek, nie zgub butów pod Berezyną — sztychł Wicek.

— Mówiła mi o tych seansach — dorzuciła Irena — Jola Gerwinówna. Jej matka odwiedza pastora i wzięła udział w tych katakumbowych nasiadówkach. O mało nie umarła ze strachu. Wszystkie kościotrupy spacerują po lochach.

— Nie opowiadajcie głupstw — rozłożył się doktor Marcinkowski — zwykły szantaż kombinatorów, nabierających pastora.

Po kolacji Adam zaszedł do pokoju Ireny. Nie była nadal w dobrej formie. Oczy miała podkrążone, usta bliskie płaczu.

— Nie mogę się uczyć. Czytam głupie romansidła i sama się wstydzę. Doprawdy nie wiem, co mam z sobą począć.

— Zajdź kiedyś do nas. Mamy sporo miłych chłopców.

— Nie mi po waszej polityce. Zresztą, odczep się. Dam sobie radę.

Targowiak przez zwykłą ciekawość postanowił skontaktować się z pastorem. Za pośrednictwem matki Gerwinówny otrzymał zaproszenie na seans. O dziesiątej wieczorem stawiał się w zakrystii Kirchy, skąd zaprowadzono go do podziemi. Schody były wąskie, ciemne, oświetlone luczycem. W piwnicach panował chłód, a po kątach bielały resztki szkieletów. Ku swojemu zdumieniu — w mało znanym towarzystwie rozpoznał Łaczkę. Udała, że go nie poznaje, i przy okrągłym stoliku usiadła nieco dalej. Gospodarz robił wrażenie człowieka autentycznie wzruszonego, gdy wezwał wszystkich do skupienia się i podania sobie rąk. Zgaszono światła. Zapanała cisza. Pastor grobowym głosem zaczął wywoływać ducha Chopina. Rozległy się tony marsza żałobnego i, przyproszony światłem, ukazał się błąd Fryderyk. Zbliżył się do ciemnego kata piwnicy, gdzie ukryte było pianino, i zagrał Etiudę rewolucyjną. Jakaś postać kobieca pochyliła się nad nim i powiedziała cichym głosem: „Krew polskiej rewolucji spadnie na dionie nas wszystkich”. Adam nie mógł oprzeć się wrażeniu, że był to głos Marii Łaczkiej. Chopin zniknął, a duch „białej damy” zbliżył się do stolika i powiedział kilka zaklęć w nieznanym języku. Wszyscy zaczęli płakać; stół drgnął i pochylił się. Ktoś krzyknął, a za nim inni: „Światło! Światło!” Minęło sporo czasu, nim ukazał się odzwierciany z luczycem w ręce. Stan obecnych był bliski hysterii, jedynie Łaczka siedziała spokojnie, z pochyloną głową.

Targowiak wstał, zbliżył się do

niej i powiedział cicho: — Chodźmy stąd. Odprowadzę panią do domu.

W zakrystii ubrali się i wyszli na ulicę. Mróz był ostry, niebo bezchmurne. Szli przez chwilę w milczeniu.

— Po co to pani? — Zdecydował się na pytanie Adam.

— Czasami nie mogę być sama. Mąż, z którym się rozwiodłam, zastrzelił się.

— Biała dama wcieliła się w panią?

— Tak. A Chopin to Stroiński.

— A pastor o tym wie?

— Nie.

W małej uliczce za Farą przystanęli.

— Niech pan zajdzie do mnie. Strome schody, trzecie piętro, prawie poddasze. Łaczka mieszkała w pokoju z kuchnią, schludnie i przytulnie urządzone.

— Proszę usiąść. Przyniosę gorący poncz, rozgrzejemy się.

Jej nieobecność trwała dłuższą chwilę. Adam rozejrzył się uważnie po pokoju. Były w nim półki wypełnione książkami, dywan, stół, krzesło, dwa fotele, szafa i sofa, nad którą wisiał akt kobiecy. Obok

— Jakże?

— Chcemy być silni, zdobywać, zmieniać. Od kobiet do ustroju.

— Od kobiet? Co ty wiesz o kobietach?

— Wiem dużo o sobie.

Zarumieniła się. Siegnęła po kafelek i dołała do szklanek.

— Kobiety marzą inaczej. Chcemy mieć miłość dla siebie.

— Miał ją pani?

— Nie. Zawsze jednak chciałam. Skrzywdziłam niejedną dziewczynę.

— Pragnienia są wspólne. Nikt nie krzywdzi nikogo. Szczęście? Może nawet szczęście. Ból zaczyna się w chwili rozstania.

Pokręciła głową. Podniósł jej dłoń i pocałował. Odsunęła się. Powiedziała coś w rodzaju „nie trzeba”. Była jednak zbyt blisko, by nie mógł jej objąć.

— Co ty robisz? Oszałałeś?

Zaplałał się w kobiecej bieliźnie, ale pomogła mu zbliżyć się do siebie, nie musiał jej zdobywać. Była uległa, potem znów gwałtowna.

Gdy wyszła z pokoju, on, leżąc na kozetce, usiłował zrozumieć to, co między nimi zaszło. Gdy wróciła — podała mu filiżankę kawy. Nie

— Jeszcze niedawno umieraliśmy za niepodległość. Zeromski zapytał — jaką? Baryka poszedł pod Belweder. Z nich wszystkich zostanie Dostojewski.

— Nie mogę myśleć tak, jak ty. Nie chcę.

— Dlaczego ci uległam. Zrozum mnie: jestem sama. Chciałam ponownie wyjść za mąż, lecz rozczarowanie pojawiło się przedziwnie zapowiedzi. Gdyby nie praca w szkole dostawałabym bzika. Zresztą byłam go już blisko, o czym świadczy seanse. Głupia zabawa w nie, chociaż Stroiński jest pełen pomysłów.

— Stary pastor wierzy?

— Cóż mu innego pozostaje?

— Zdajesz sobie sprawę, do jakiego stopnia jest to nieuczciwe?

— Tak, ale...

— Nie pójdziesz więcej?

— Nie. Natomiast raz w tygodniu możesz mi o tej porze składać wizytę. Mieszkają tu ludzie obcy. Nikt nas nie zna. Nawet, gdy się spotykają, nie zwróca na to uwagi. Ukłęknał, po czym całował jej ręce i nogi.

— Dosyć, już dosyć. Teraz idź. Późno już.

Szybko zbiegł po schodach. Na ulicy mroźne powietrze owiało mu twarz. Był pijany. Minał kościół garnizonowy, park, i skierował się do domu. Osaczył go myśl, która starała się odsunąć — jak najdalej. Przecież jutro spotka Marię Łaczkę na lekcji! Jak spojrzeć w oczy Stachowi czy Zośce.

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

ZOSTAĆ SOBĄ

kafelowego białego pieca stał kubek z węglem.

Weszła Łaczka i podała na tacy dwie szklanki gorącego ponczu.

— U mnie jest dosyć zimno. Pałę, lecz piec nie grzeje.

Poncz szybko uderzył Adamowi do głowy, ale ostrzej niż zawsze widział zgrabne nogi Marii. Wystawały spod szlafrocka, który narzuciła na ubranie.

— Pani jest bardziej piękna, niż myślałam — powiedział.

Poprawiła szlafroczek, zarumieniła się.

— Bardzo pana lubię. Jest w panu coś niespokojnego, co odróżnia ciebie od innych chłopców. W ciągu ostatniego roku wyrosłeś i zmężniałeś.

— Byłem na wsi. Dużo czytam.

— Na przykład?

— „Przedwiosnie” Żeromskiego.

Przysłali mi z Warszawy.

Uśmiechnęła się.

— Miałeś kiedyś w ręku Dostojewskiego?

— „Zbrodnię i karę”.

— I co?

— Mord na staruszczie i później wszystkie te refleksje?

— Nie rozumiałeś duszy ludzkiej, o której mówi Dostojewski.

— „Piłomienie” Brzozowskiego były mi bliższe. Zabójstwo polityczne łatwiej da się uzasadnić, mimo że do niczego nie prowadzi. Wpadła mi kiedyś w ręce „Jama” Kurpina. Ten klimat rosyjskiej literatury nie dotyczy naszego pokolenia. Mamy własne sprawy, też nielatte.

usiadła jednak przy nim, lecz stanęła pod piecem, przysglądając mu się uważnie. Kiedy podniosła do ust filiżankę, dostrzegł w jej oczach pewien niepokój.

— Co ty sobie o mnie pomyślił?

— Jeszcze nie wiem. Zapewne się w tobie zakocham.

— Sądzę, że nie będziesz się przed nikim chwalił?

— Jestem gówniarzem, to prawda, ale nie do tego stopnia.

— Pamiętasz naszą rozmowę na balu?

— Jeszcze wówczas o tobie nie myślałem.

— A ja tak. Trochę. Nie potrafię tego określić. Ale nie sądziłam, że się w takiej sytuacji spotkamy.

— Czy zawsze masz ten różowy abażur?

— Wprowadza mnie w nastrój, gdy czytam Dostojewskiego. Lubie rosyjską literaturę, nie lubię komunistów.

— Dlaczego?

— Chcę myśleć i postępować zgodnie z własnymi poglądami. A ty naprawdę jesteś komunistą?

— Nie. Nie umiem tego określić. Kocham swój kraj i ludzi. Jest im źle, trzeba to zmienić. Samo się nie zrobi.

— Nigdzie nie jest lepiej, ani w tym, ani w tamtym ustroju. Rewolucja jest tylko protestem, a potem? Pracować trzeba wszędzie.

— Egoizm jednostek rodzi potrzebę kolektywu.

— Kolektyw nie jest zaprzeczeniem egoizmu.

— To prawda, Zocho, nie robisz tego tylko dla mnie?

— A dla kogo?

Nie bardzo wiedział, jak reagować. Było mu przykro. Przypomniał sobie Marię. Oby spraw nie da się utrzymać. Zoche pożegnał przed bramą, nie wchodząc do środka.

Wyjazd Nidzińskiego do Krakowa nie przeszedł bezkarnie.

Problem Janka stanął na Radzie Pedagogicznej. Obida nie posiadał się z oburzenia. Targowiaka również wezwano do dyrektora i musiał wysłuchać ostrej repromendy.

Znowu nagana z ostrzeżeniem dla Nidzińskiego, a upomnienia dla pozostałych. Nawet poseł Czarnecki radził im przez pewien czas nie spotykać się, lecz zabrać do nauki.

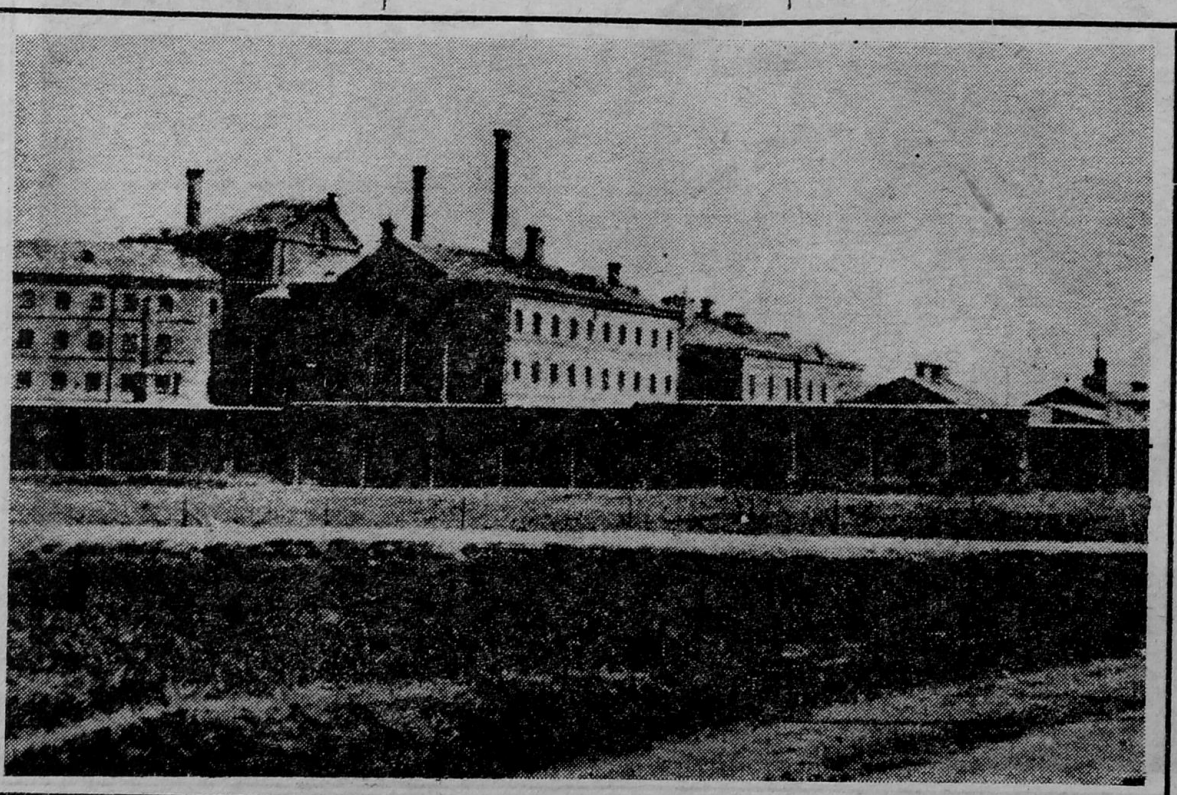
Minęły dwa tygodnie. Łaczka przypomniała Adamowi o spotkaniu. Stawiał się o wyznaczonej porze. Maria nie była w dobrej formie. Czula się zaziębiona, kaszlała, skarżyła się na ból głowy. Nie ukrywała pretensji, że jej unikał i bawił się w głupią politykę, mimo jej przestróg.

— Ze też wam chce się zajmować takimi głupstwami. Dziecinada. Zjazdy, zebrania, a świat będzie taki sam.

— Chodzi o nas, nie o świat.

— O was? Jeden Szymkowiak potrafił być sobą.

— Trudno mu zazdrościć — powiedział Adam z urazą w głosie.



pospolite wzruszenie

Odwiedził mnie daleki powinowaty. Polonus, ale od zakończenia wojny mieszkający w kraju o twardej walucie. Do Polski przyjeżdża regularnie prawie od ćwierćwiecza. Wielu rzeczom ciągle się dziwuje, inne przestały go już zdumiewać, sporo chwali. Czyni to o wiele częściej niż rodowici mieszkańcy PRL. Oczywiście, niektóre z tych pochwał brzmią nieco dziwacznie, ale obaj w końcu jakoś tam się rozumiemy.

Nawet wtedy, gdy nie może precyzyjnie wyrażać się po polsku, bez skrepowania używa języka kraju, w którym mieszka. Ale ja znam ów język. Bieda w tym, że on, mówiąc własnym niepowtarzalnym wulgiem, sądzi, iż używa polskiego, skoro ja — stuprocentowy Polak — go rozumiem. Kiedyś na parkingu przed domem wujcio podszedł do sąsiada, dębkiego coś przy swojej syrenie, i rzekł krótko a dobitnie: „Beknij pan”. Ja to zrozumiałem, sąsiad zrobił głupią minę. Musiałem przetłumaczyć: „Proszę cofnąć samochód, bo wujek nie może wyjechać swoim”. Innym razem wujek zaproponował mistrzowi malarskiego fachu: „Rzuć pan braskę, a weź roller, po co się tajrać”. Też zrozumiałem. Niestety, mistrz okazał się mniej pojętny. I był zmęczony przez tydzień. A mieszkanie stało rozrabiane.

Jak widać z tych przykładów, zawsze rozumiem wujcia, a wujcio mnie. Gdy przyjeżdża, służy mi za przewodnika po współczesnej cywilizacji, w tajemniczą w arkana techniki, daje lift swoim chrystlerem. Dzięki niemu wiem, że świat nie kończy się na „maluchu”. W każdym bądź razie wujciowi zawdzięczam wiele i ciągle marzę o rewanżu.

Tego roku nadarza mi się okazja. Wujcio zjechał. Wysupiał 1000 (tysiąc) dolarów i powiedział krótko: „To na armorial”. Gdy taki człowiek, jak wujcio, daje tysiąc, to znaczy, że sprawa jest poważna i „armorial” (czyli herbarz) w USA może kosztować ze dwa tysiące.

Jeszcze pięć lat temu na aukcji bibliofilskiej w Krakowie można było dostać pierwsze wydanie herbarza Paprockiego za 20 000 złotych. Później Jerzy Wittlin wydał czterotomowy przedruk herbarza po 800 złotych za tom. Oryginalne wydanie Bartosza Paprockiego (XVI-wieczny) oraz Kasprowa Nasieckiego (XVIII-wieczny) zniknęły z wszelkich aukcji. Wydany przez WAI F reprint pojawił się pod ładami księgarń i w antykwariatach. Natural-

nie, już nie po 3 200, ale po 24 000 złotych. Znam pewną bibliotekę w Łomży, która ten cenny druk nabyła za 24 000 złotych. Prosto z państwowego antykwariatu.

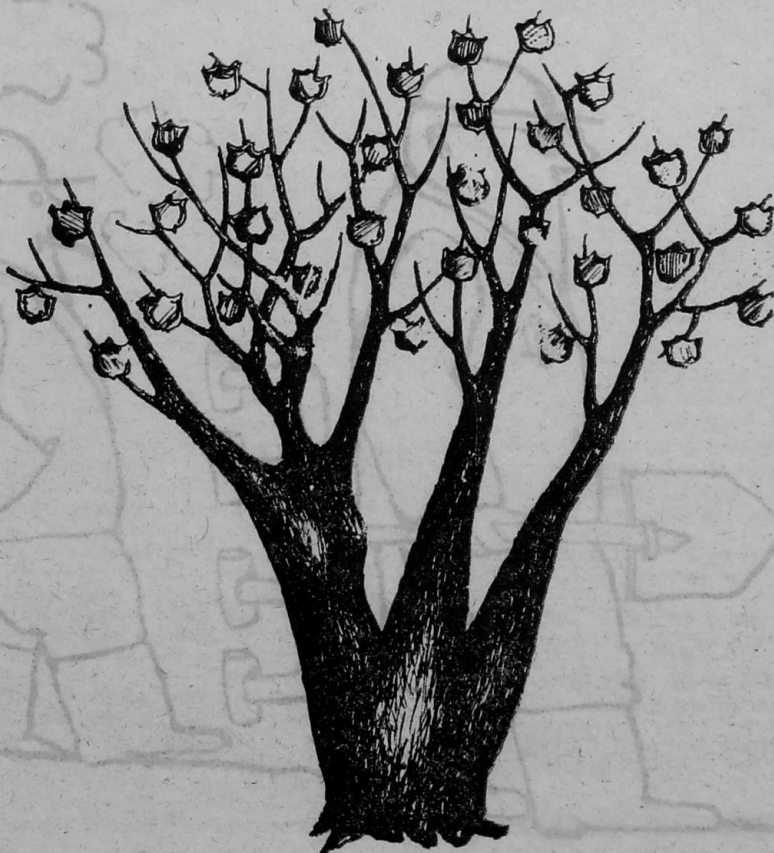
Naród zrobił się strasznie pazerny na antenatów po mieczu i kądzieli. Herbarze w modzie, herbarze w cenie. Wprawdzie 5—6 proc. populacji może się legitymować karmazynowym czy sitarskim pochodzeniem, ale do szlacheckiego stanu pretendują prawie wszyscy. Wystarczy zbieżność nazwisk. Mój amerykański kuzyn, jako że pochodzi z Goraja (obecnie w województwie zamajskim), postanowił do grona przodków zaliczyć możnego ruskiego knezia, Dymitra z Goraja, którego sam mistrz Matejko malował jako możnowładcę z otoczenia króla Jagielly. Wujcio nie wie wprawdzie, na jakim obrazie i w jakiej scenarii znalazł się ów Dymitr, o ruskich rodach książęcych ma jeszcze mniejsze pojęcie, ale matejkowskie malowanie stanowi dla niego argument nie do przebiccia.

Daremnie tłumaczę swemu ziomkowi, że ruskie rody książęce wyginęły już w XVI—XVIII w.; że Matejko to nie dokument, lecz artystyczna wizja historii. Przywoływał technik, znawca samochodów i motorówek, wpadł w herbarzową manię. „Wujciu — mówię — co tam zasługi przodków. Ważne są nasze własne dokonania. Weźmy np. belgijskiego przemysłowca, Polaka z pochodzenia, Jeana Zarzeckiego. Urodził się w Grajewie, ale nie każe się nazywać Janem z Grajewa. Sprzedaje polski sprzęt gospodarstwa domowego, pomaga zwiększyć nasz eksport, o herbarzach nie myśli”. „Tak, ale on ma kapitał!” I rozmawiaj tu z takim! W ujęciu kuzyna sprawa wygląda jasno: albo ma się pieniądze (na które trzeba jednak zapracować), albo trzeba legitymować się pochodzeniem.

Przez rozmowy z wujciem uświadomiłem sobie, że dla znacznej ilości ludzi istnieje krąg problemów „herbarzowych”; konieczność auto-nobilitacji i związane z tym kłopoty. Ludzie ci na ogół nie mają pojęcia o heraldyce, genealogii i innych naukach pomocniczych historii. Posiadanie przedruku herbarza, w którym można by odszukać ich nazwisko — to szczyt ambicji.

Bądźmy wielkoduszni: w kolejnych numerach — przewodnik herbarzowy dla wszystkich na poważnie, i z przymrużeniem oka; ku uciesze, rozrywce i refleksji.

STRYJEC



dziedzictwo



PRAWDA CZY LEGENDA

Jan z Kolna

Któż z nas nie zna żeglarza Jana z Kolna — legendarnego odkrywcy Ameryki, który wyprzedził Columba, ustępując mu sławy. Wiemy, skąd się wywodzi, gdyż tak jak on z miastem, tak Kolno z Janem wiąże się nierozłącznie. Pamięć o nim utrwalono na obrazach i w literaturze oraz w nazwach ulic wielu miast polskich. Jest dla nas nie tyle legendą, ile częścią historii i dokonaniem wielkich Polaków. A przecież spór o pochodzenie żeglarza, który dotarł do wybrzeży Ameryki w roku 1476, dotychczas nie przyniósł ostatecznego rozwiązania. Przyznają się do niego także Duńczyk, Szwedzi i Portugalczycy. Na pewno wiadomo tylko tyle, iż jako pilot wyprawy, dowodzonej przez Podhorsta i Pinęga, a zorganizowanej przez króla Danii, Krystiana I, osiągnął wybrzeża Ameryki. Pierwszym człowiekiem, który odkrył dla Polski Jana z Kolna, był wielki historyk i polityk pierwszej połowy XIX wieku, Joachim Lelewel. Znalazł on w szesnastowiecznych księgach francuskich i flamandzkich wzmianki o Janie Scolnusi, Polaku i umieścił jego wyczyny w swoich rozprawach o wielkich odkryciach geograficznych. Kolno, miasteczko leżące w XV w. na trakcie handlowym Warszawa—Łomża—Królewiec, przeżywało wówczas swój rozkwit. Tu właśnie, na dworze książęcym, odbywały się sady komisarskie pomiędzy przedstawicielami książąt mazowieckich a Krzyżakami. Wśród pierwszych studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego w roku 1455 znalazło się aż dwóch Janów z Kolna. Także w tym czasie w Gdańsku znani byli marynarze legitymujący się pochodzeniem kolneńskim.

W roku 1933 Bolesław Olszewicz w największej, jak dotąd, polskiej rozprawie o Janie z Kolna — ze względu na „niedostateczność danych źródłowych do całkowitego wyjaśnienia sprawy” — nie wykluczył polskiego pochodzenia Jana,

ale również go nie potwierdził. W oparciu o książkę Olszewicza wielu późniejszych polskich autorów, zajmujących się tematem odkryć geograficznych, odmawiało Janowi obywatelstwa polskiego. Z kolei — wielu zagranicznych autorów prac z tej dziedziny zdecydowanie opowiadało się za polskim pochodzeniem Scolnusa.

Pamięć o Janie z Kolna odegrała istotną rolę w okresie braku Polski na politycznej mapie Europy. Ukazywanie wielkich Polaków w okresie rozbiorów umacniało patriotyzm i wiarę w odbudowę ojczyzny. Choćby więc z tego względu nazywanie placów i ulic jego imieniem w Kolnie oraz wielu innych miastach naszego kraju było w pełni uzasadnione.

Poza Lelewel Jan z Kolna spopularyzował także w Polsce Jan Matejko, który namalował jego postać na obrazie „Wpływ Uniwersytetu na kraj w wieku XV” (obraz IX z cyklu „Dzieje cywilizacji w Polsce”). Stanisław Tarnowski w książce „Matejko” (1897 r.) następująco przedstawił postać żeglarza widzianego oczami Jana Matejki. „Jan Polak — okazaniem bryły złota stwierdza bytność za Atlantykem, zanim Kolumb tam zawinął, o czym świadczy archiwa sztokholmskie”. Stefan Żeromski w „Wietrze znad morza” tak scharakteryzował Jana z Kolna: „Był to człowiek wzrostu wielkiego, w barach szeroki, twardy w karku, o grubym brzuchu, o kolanach i stopach potężnych. Latem i zimą w koszuli rozpiętej, z gołą głową, którą włos długi, gęsty i bujny porastał, w skórniach po same pachwiny i lekkim na ramionach kaptanie, lubował się w deszczach i mrozie, a oddychał wielkimi płucami naprawdę szeroko dopiero wśród wichrów północy”.

CZESŁAW BRODZICKI

Pisałem poprzednim razem, jakby to dobrze i rozsądnie było, gdybyśmy umieli cały kraj jako tako równomiernie nasycić substancją kulturalną, a konkretnie — biblioteczną, archiwalną i muzealną. Otóż w trakcie pisania pomyślałem sobie, że dałoby się pomyśleć różne muzea i dowcipne, i kształcące, i — jak dotąd — nie realizowane. Między innymi przyszło mi na myśl Muzeum Codzienności (można by je zresztą jakoś pięknie nazwać), które dałoby się tworzyć i uzupełniać z miesiąca na miesiąc. Byłoby to muzeum niezmiernie współczesne, a zarazem solidnie historyczne, o — być może — ostatecznie wielkiej wartości kulturalnej i naukowej.

Zauważmy, że w muzeach pomieszczamy prawie wyłącznie przedmioty stare i unikalne; takie, które mogą nas dziwić i tym zadziwieniem bawić. Ale przecież teraźniejszość nie jest punktem statycznym. W moim, ponad czterdziestoletnim, życiu teraźniejszość nie raz się już przekształcała, odmieniała i stała historią, a wraz z nią — cały świat rzeczy. Inne są m.in. etykiety na puszkach, inne czcionki w gazetach, inna moda, inne gatunki papierosów,

przechowywane raczej nie są. Coś by się tam z pewnością zebrało, ale zbiory „całą gębą” datowałyby się właściwie od momentu założenia muzeum. I rosłyby z czasem, wkraczając w coraz to nowe teraźniejszości, a zarazem przypominając nam ustawicznie o teraźniejszościach, które stały się już historią. Kto wie, czy za niezbyt nawet wiele lat (mniej, niżby się zdawało) takie muzeum nie stałoby się ewenementem na skalę polską, a może nawet światową. W Polsce — w każdym razie — niczego takiego nie ma, i miasto, które by się o nie postarało, miałoby rzecz unikalną.

Mam nawet pomysł, jak powinien w tym muzeum być wyobrażany wpływ czasu. Otóż wybrałoby się losowo zdjęcie dziecka i młodego człowieka (a może nawet paru osób), i — powiedzmy — co pół roku dołączaloby się ich nowe zdjęcia. Co prawda podobne doświadczenie ma w sobie coś okrutnego, i nie wiem, czy ja bym się zgodził spełniać rolę takiego żywego — a więc też i śmiertelnego — kalendarza. Myślę jednak, że niejedną chętny by się znalazł.

Tak więc nobilitowalibyśmy świat lekceważonych przedmiotów, postawilibyśmy pomniczek ewolucji czajnika, sukienki mini, maksi i mi-

ZANIM SIĘ SKOŃCZY XX WIEK

mieszkanie z wygodami

Szukając rymarza, który by mi uszył futerał na lunetę (żeby znaleźć rzemieślnika tej specjalności, trzeba nogi uchodzić!), zagłębiłem się w bramy i podwórka warszawskich ulic między Placem Trzech Krzyży a Kruczą. W pewnej chwili, gdy od suterenu, czasem jeszcze mieszczących warsztat rzemieślniczy, podniosłem wzrok w górę na ściany ociałych z wojny kamienic, stwierdziłem, że znajduję się na klasycznym podwórku-studni, jakie dzisiejszy młody człowiek zna tylko z powieści i filmów, opisujących życie w przedwojennym mieście.

Obejrzałem to podwórko nie bez wzruszenia, bo mi przypominało czasy dzieciństwa, lecz zarazem tak, jak się ogląda ruiny zamku albo gąbłotę w muzeum. Bo wielkomiejska kamienica nie ma w architekturze dalszego ciągu. Przeciwnie, nawet tam, gdzie architekt, chcąc najoszczędniej wykorzystać miejsce, projektuje budynki wielokondygnacyjne, pozostawia się wolną, zazielenioną przestrzeń między blokami. Podwórko-studnia wydaje nam się dzisiaj czymś przygnębiającym i wręcz sprzecznym z naturą.

A przecież jeszcze przed niespełną półwieczem taka właśnie kamienica w śródmieściu była upostaciowaniem mieszkaniowego luksusu. Wystarczy wejść na klatkę schodową (frontową, oczywiście, bo kuchenna była lada jaka), aby zobaczyć pozostałości owego luksusu: marmurowe schody, na których jeszcze pozostały zaczepy prętów niegdyś utrzymujących chodnik, stiukowe ornamenty na sufitach, niby-witrażowe okna.

W klasowo spolaryzowanej architekturze sprzed pół wieku taka kamienica była biegunem dodatnim, natomiast ujemny stanowiła drewniana, ciasna, strzechą kryta chałupa. W chałupie wodę nosiło się ze studni, świeciło się lampką naftową, biegało się „z potrzebą” za stodołę; kamienica zaś miała „mieszkanie z wygodami”, gdzie woda płynęła z kranu, lampka zapalała się po przekręceniu kontaktu, gdzie była wana i wc. Dla tych wygód rezygnowano z przestrzeni i zieleni, stawano się dobrowolnymi więźniami murów. Nie tylko zresztą dobrowolnymi, ale i usatysfakcjonowanymi, ponieważ obudowanie murami dawało pożądane i bardzo cenione poczucie wielkomiejskości. O takiej właśnie wielkomiejskości marzyli ludzie mieszkający „na prowincji” w domkach z ogródkami — drobnomiesz-

czanie, którym przeniesienie się do dużego miasta dawało poczucie życiowego awansu.

Wystarczyły dwa pokolenia, aby diametralnie odmienić gusty. Obawiam się jednak, że z tą odmianą, jak się wydaje, coś jest nie tak; że dążenie do naiwnie pojmowanego wielkomiejskości przeobraziło się wprawdzie, ale pozostało. Dziś w zasadzie o mieszkaniowej różnicy między miastem a wsią nie stanowią ani żarówka u sufitu, ani wodociąg, kanalizacja — to znaczy, używając niegdyśszego określenia, „mieszkanie z wygodami” — bo te wygodę są dostępne i tu, i tam. Młody człowiek, nawet jeśli się urodził i wychował pod strzechą, ma wszelkie szanse zbudowania takiego mieszkania w ciągu kilku lat samodzielnego gospodarowania. Dlatego więc młodzież wiejska tak często jeszcze marzy o przeniesieniu się „do bloków”, do betonowej klatki M-3 czy M-4?

Marzenie to urzeczywistnia się nie tylko w migracji ze wsi do miasta (na co zresztą zaczynamy dziś patrzeć jako na zjawisko społecznie negatywne), ale także w formach niekiedy karykaturalnych. Tu i ówdzie można przecież, zwłaszcza we wschodniej połowie Polski, zobaczyć typowo miejski budynek mieszkalny stojący w polu, jakby się tam zawieruszył przez pomyłkę. Zajmują go ludzie dumni z tego, że mieszkają „w bloku”, choć ów blok sterczy jak latarnia morska pośrodku łąki, skłócony z tradycją architektoniczną i krajobrazem. Ba, wystawienie takiej latarni morskiej bywa niekiedy sprawą ambicji aktywów gminnych.

Pisząc o tym, nie mogę powstrzymać się od złośliwości, chociaż wiem, że motywem jest w tym przypadku chęć jak najlepszego zaspokojenia potrzeb mieszkaniowych. W miarę modernizacji rolnictwa rośnie liczebnie grupa ludzi — nauczycieli, mechaników, lekarzy, weterynarzy, pracowników administracyjnych itd. — bez których gmina nie mogłaby prawidłowo funkcjonować, a którzy, skoro nie prowadzą gospodarstw rolnych, nie mogą swoich potrzeb mieszkaniowych zaspokoić własnymi środkami. Jest to problem bardzo istotny, ale rozwiązanie go przy pomocy stawiania miejskich bloków tam gdzie wcale nie pasują wydaje się najmniej szczęśliwe. Tak jak było to z gdzieś tam jeszcze zachowanymi — kamienicami z podwórkami-studniami.

ZBIGNIEW SIEDLECKI

muzeum codzienności

inny krój banknotów. Oczywiście, wiele z tego gromadzi się w zbiorach specjalnych — filatelistycznych, filumenistycznych, w archiwach wzornictwa przemysłowego itd. Ale gdyby to zebrać wszystko razem i pokazać takie ciągi życiowych działań, jak, powiedzmy (z roku 1955 na przykład): banknot i to, co za niego można było kupić: papierosy „Lotnik”, owocowe wino „Kumoter”, „Nową Kulturę” czy coś tam jeszcze. W jakim ubraniu wtedy chodziłem? Jakie buty były modne? Co reklamowały gazety? Było to w danym momencie teraźniejsze, a dziś wszystko, co wymienię, należy do całkowicie minionej historii, bardziej minionej niż koncepcje polityczne i tendencje rozwojowe kultury. Bo one zostawiają po sobie ślad wyraźny i chroniony, a życie codzienne — nie. Więc byłoby to po prostu muzeum historii naszego życia.

Obawiam się, że niezbyt daleko wstecz dałoby się sięgnąć, bo ani opakowania papierosów, ani stare etykiety czy puszki po konserwach

di... Po jakimś czasie spoglądalibyśmy zdumieni: ach, więc to tak dwa lata temu wyglądały puszki od groszku? To taką margarynę jadaliśmy wczoraj? Zabawne, przecież po tym i tym już nawet śladu nie ma, chociaż były drobną częścią naszego życia.

Te doznania dla nas. A dla przyszłości, gdyby taka placówka ostała się wszelkim zmianom, reorganizacjom i dającym się przewidzieć zakusom likwidatorskim, mogłaby być świadectwem naszego czasu, naszych radości i utrapień — większym i prawdziwszym niż wszystko, co się wznosi i wzniesie na dumne, granitowe i spiżowe cokóły.

Każdemu pomysłowi dobrze służy opinia innych, dlatego proszę o nią wszystkich Czytelników, a także o własne propozycje, związane z ideą Muzeum Codzienności czy — jak kto woli — Muzeum Rzeczy Pospolitych.

PIOTR KUNCEWICZ

Rysunek Marka Polańskiego



Akcja rozgrywa się we wsi Radziszewo-Króle (gmina Ciechanowiec). Od dłuższego czasu toczył się tam spór, który podzielił wieś na dwa wrogie obozy. Atmosfera jest bardzo napięta, a rozmówcy rozgorączkowani. Po wsi oprowadza reportera sołtys, który naświetla i komentuje przyczyny sporu. Reporter z sołtysiem podchodzą do przystanku PKS-u.

SOLTYS: O! Policzym kroki, o co im poszło, ile tam metrów będzie do tamtego starego słupka. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć, jedenaście, dwadzieścia, trzydzieści... No, od przystanku jest jakie dwadzieścia metrów, nie będzie więcej. No, krokami mierzone, a jakby metrem, to by było może mniej.

REPORTER: To ten przystanek?

SOLTYS: No. To ten! Ło, jak pogięli oni tu, cholery! Blacha była. Oni zerwali ją. Było to w nocy, zerwali to blache i schowali nawet gdzieś ją. Ja ledwo ją znalazłem. Zasadłem — sukał, sukał, znalazłem. Nareszcie znalazłem ją, przywiązał tutaj na razie ona siedzi. Jak nie zerwa, dalej nie pójdzie, to nie wiem... Ławki na razie jeszcze w porządku. Nikt nie łamie te ławki tutaj! (Wieska droga, reporter z sołtysiem napotyka mieszkańców wsi)

GOSPODARZ I: To wszędzie tak jest!

ZADZIorny STARUSZEK: Paru durniów się znalazło — napili się wódki, w nocy poszli, chcieli go przemieścić. Niestety, się nie udało, bo on zabetonowany. O! W zygzak! I co z tego wyszło?

KOBIETA I: Ale widział pan Radziszewski, że chcieli przenieść? Nie! Nie widział. To i nie trzeba gadać! **STARUSZEK:** Widział! Właśnie syn wartował w tę noc i widział, jak powracali.

KOBIETA I: Ja na łóżku leżałam i słyszałam! Każdy to wie. I to, co ta strona mówi, to prawda, i tamta strona — to prawda.

REPORTER: A jaka jest faktyczna prawda?

KOBIETA I: Aaa... Faktyczna? Moim zdaniem — to jest nieprawda... nieprawidłowo przystanek stoi! (Sołtys odciąga reportera i prowadzi dalej)

SOLTYS: Przystanek wywalcony jest. Bardzo długo jeździł ja do nacelnika. Parę razy. Przystanek jest metalowy, cały gotowy był, zielony jest, nakryty ternitem. Ciężko jest dostać taki przystanek. Z tego powodu, że ich mało jest. Na gminie nacelnik dostał chyba siedem przystanków. Na całą gminę — co to jest tych przystanków? I sprowadził ja jego do Króli, jako sołtys.

No, ja tak sobie myślałem: będą zadowolony mieszkańcy, jako dla wioski się przyda według desku, według postojenia, usiąść — laweczka będzie, tego i sprowadził jego. No, dobra. Stary przystanek był, a ludzie chcą, żeby jego przenieść na środek wsi! Ale tam środek wsi to nie można określić. Placu jak ni ma, no to gdzie jego postawić? No, nacelnik kazał mnie zabierać ten przystanek. Tu nie było gdzie zwać. No, gdzie ja zwał? Do siebie! Na podwórko zwał ten przystanek, ale sobie dumam, że to on tak długo będzie leżał i gdzieś jego postawić trzeba. No, jeszcze tam były takie polamane części, to ja zasadłem do sąsiada, pospawaliśmy on jakieś tam śrubki, pospawaliśmy. No i tu przyszedł jeden taki Radziszewski, i pytał: „Co to jest?” A drugi mówi: „Przystanek to będzie!” A on mówi: „Gdzie ten przystanek będzie stawić?” A on gado: „Na przeciw siebie postawim!” I w te pore takie, o, głupoty zaszły między mieszkańcami. Jeden gadał żartami, a to posło potem prawda, że jako przystanek chcemy naprzeciw przystawić. No i to zaczęło się tak: jeden krzycał, że tu, — drugi, że tu! Zbiór się zrobił taki w wiosce. „Dawaj tu! Wywalić sołtysa!” — jedne krzyca. Jedne za sołtysiem, drugie przed sołtysiem, i tak sło. Balagan zerwał się. Wtedy mieszkańcy na — drugi dzień przyszli i zaczęli zrywać przystanek, trochę pogięli, polamali jego, i na tem się skończyło, na razie...

(Ludzie dopadają ich znowu)

KOBIETA III: Tu wszędzie tak jest — i lewica, i prawica. W każdej wsi, prawda?

KOBIETA II: No to takie głupoty panują na świecie. Prawica niech mówi dla lewicy, że tu jest dobrze.

REPORTER: Chcemy obydwie strony usłyszeć

GOSPODARZ II: Obydwie strony usłyszeć? No, my pragniemy, żeby ta strona była pośrodku, ten przystanek. No i dążyli...

KOBIETA IV: Ta gdzież nam z kolonii, tam spod Radziszewa, chodzić aż do mleczarni, na przystanek, jak on na środku wsi mógł stać!

REDAKTOR: Teraz stoi, proszę pani.

KOBIETA I: Oj nie, proszę pana! **ZADZIorny STRUSZEK:** A on nie pośrodku wsi?

KOBIETA I: Oj nie pośrodku! **ZADZIorny STARUSZEK:** We właściwym miejscu, na swoim gruncie!

KOBIETA I: No, odmierz tak — z tamtej strony wsi i tam, od Karola czy od Kolenda, to zobaczy pan, gdzie środek wsi! Dwadzieścia kroków dalej!

ZADZIorny STARUSZEK: To ja wiem! To dla tamtych dodatkowy trud może. Wam daleko, i dobrze!

KOBIETA I: Dla tego pana i dobrze, bo on tutaj mieszka, na kolonii.

KOBIETA II: Do czego to podobno? I jeszcze w nocy iść, i łamać go!?

KOBIETA I: Ale ktoś go polamał!? Co takie głupstwa opowiada?

GOSPODARZ II: Chwileczkę, chwileczkę — środek wioski tu jest. Przymierzono jest, tu środek wioski. Tak samo i ta strona powinna być ujęta, i ta strona jednakowo. No i właśnie my o to dążyli, no!

(Reporter z sołtysiem zachodzą do szkoły)

REPORTER: Pan, jako nauczyciel, jak by tę sprawę ujął?

NAUCZYCIEL: Ja bym do tej sprawy podszedł historycznie. Mianowicie: nasza wieś powstała z połączenia dwóch dawnych szlacheckich zaścianków. Przedtem były dwa oddzielne zaścianki, z czasem połączyły się, ale te dawne waśnie, spory, pozostały. Niech pan, na przykład, wyobrazi sobie taką sytu-

wioska o ten przystanek. No i nacelnik z tego powodu przyjechał tutaj zajrzeć, z kierownikiem służby nawet był wtenczas. No i tu taki jeden się zawiązał, że on jego przemieści! Ale dyrektor przystanków mówi tak: „Na tem miejscu on stoi w dobrym miejscu, bo prosty odcinek drogi, a na krzyżówkach czy na jakich rozstajnych drogach nie może przystanek stać!” No, nacelnik powiedział: „Bierzcie ten przystanek, postawcie na starym miejscu”. Jako sołtys zachodzę i mówię tak: „No, bierzcie przystanek”. Tylko tak: śrubów nie było do skręcenia, bo nie mieli! no, ternitu nie było. To ja mówię: „Bierzcie i stawiajcie!” A mieszkańcy się na to nie odezwali, zabrali się, poszli do domu. Każdy do domu poszedł, został się przystanek nadal. I przystanek leżał bez całej zime u mnie na podwórku. Leżał, leżał, a ja se myślę na ostatku: „Gdzie ja będę wycinał u sąsiada, ploty?”

(Ludzie znowu podchodzą do reportera)

KOBIETA IV: Proszę pana, przystanek by był, jakby był pośrodku wsi. Tobo wszystkim było dobrze! A tylko do siebie jego wziąć — to jak?

GŁOS Z BOKU: To my pokrzywdzone! I dzieci tu z tej strony wiecej! Tamci to mają pod nosem i się śmieją.

KOBIETA I: No jasne, że my pokrzywdzone, bo my i do spółdzielni mamy daleko, i do przystanku mamy daleko, i do mleczarni mamy daleko! Chleb, na przykład, przewiozą czy makę kartoflową, to ten brzeg nie dostanie, a tamten brzeg wszystko gotowe! I jeszcze pochowają pod ladę! Czy masło? Czy choć kiedy z tego brzegu kto masło dostał? Nie!

GOSPODARZ III: Ten prąd! Ten prąd i to-mamy tylko do środka wioski! Ten bok ma swoje elektryczność, a tamten swoje.

KTO KOGO

ANDRZEJ BARTOSZ

ację, że północni jeżdżą na targ, na jarmarki, do Grodziska, do Pobliskier, natomiast ci z południa — w kierunku przeciwnym, do Ciechanowca, do Bogut. Podobnie jest z zabawami. Ci z północy nigdy nie pójdą na południową część wsi i ci z południa nigdy nie pojawiają się w północnej części wsi. Ba, nawet jeżeli przypadkowo znajdą się w jakiejś okolicy wspólnie, na zabawie, to nie bawia się ze sobą; tak się zachowują, jakby się nigdy nie znali. Obco, całkiem obco się czują. I tak jest ciągle. Myślę, że jest to coś z piniactwa, dawnego szlacheckiego piniactwa pozostałości.

(Na przystanku sołtys z reporterem znów spotykają tłumek mieszkańców wsi)

ZADZIorny STARUSZEK: Ale poprzednio, jak on stał, to parę metrów tylko różnicy...

GOSPODARZ II: Panie Radziszewski, to nie idzie o parę metrów różnicy, to idzie o rzecz! Więcej ni o co nie idzie! To idzie o prawdę! A nie wszystko jest z tamtej strony? Z tamtej strony! Na przystanek nie trzeba placu dwa hektary, proszę pana, tylko trza kawaleczek!

KOBIETA I: My nie jesteśmy zadowoleni z przystanku.

(Ogólna kłótnia: sołtys ucieka i pościga za sobą reportera)

SOLTYS: Tu w swym czasie się zrobiła awantura. Delegacja pojechała do nacelnika. Nie zgodziła się

(Wiejski sklep: na tle gwaru reporter rozmawia ze sklepową)

REPORTER: Proszę pani, południowa część wsi skarży się, że jest gorzej zaopatrzona niż północna. Jak to z tym jest?

SKLEPOWA: Yy... Sklep jest właściwie bliżej południa i tego... Ale nikomu spod lady, dla wszystkich...

REPORTER: A skąd się biorą te głosy?

SKLEPOWA: Towar samochodem dowożą z drugiej strony wioski.

REPORTER: Od północy?

SKLEPOWA: Od północy. Ludzie widzą...

REPORTER: No i co? Widzą samochód, to szybciej dochodzą?

SKLEPOWA: To już docierają do mnie szybciej, i w kolejce... iii... towar dla nich. A tamci z południa dowiadują się później, i tak to... Była nawet taka propozycja, żeby sklep podzielić na dwie części, przepierzenie jakieś zrobić. Tak na jakimś takim wiejskim zebraniu proponowali. Nie byłam na nim, ale tak mi mówiły klientki, że przepierzyć sklep i — tu tyle samo, i tu tyle samo.

(Do rozmowy włączają się klientki)

GOSPODARZ II: No a gdzie lepiej on stoi, u kogo?

GOSPODARZ I: A jak według liczby ludzi, to... on stoi dobrze, tylko parę metrów na ogólny plac przesunąć. Tyle lat stał dobrze, a jak

przesunęli trochę na ogólny plac, to już źle!

GOSPODARZ II: Tam plac odpowiada na to, a tutaj gdzie? Wleźć do kogo na podwórko, wywalić przystanek?

(Kobiety nadal dyskutują głośno, a sołtys ponownie odciąga reportera na bok)

SOLTYS: Pierwszy autobus miał tędy kursować, gdzie przystanek miał stać. Był ja akurat w gminie, zajechał w sprawie, jaką swoją własną miał. Zachodzę, a budowlanec mówi: „Wiesz co? Ten przystanek trzeba postawić”. „No, ale — ja mówię — jak postawić? No to będzie zadercie, znowu się będzie wioska spierać”. Ale budowlanec mówi: „Wiesz co? Masz tutaj takie robotniki trzy. Bierz te robotniki!” Ja pobrałem ich od razu. Przyjechali: przystanek na tem miejscu postawili, na ogólnym placu. Skąd ja mogę chodzić od domu do domu, się pytać, gdzie ja będę stawiał? Tom stawiał, gdzie mnie pasowało. A jak ja ustawiłem ten przystanek, to żaden nie przyszedł, tylko jeden jechał i gada: „To weź ten przystanek, postaw u siebie na podwórku”. I tak został postawiony. I zaczęły wtedy delegacje jeździć. Delegacja za delegacją. Nacelnik na ostatku już sam nie wiedział, co robić. Powiedział: „Zle, że ja dla sołtysa dałem ten przystanek, bo lepiej było nie dawać, to by choć spokój był. I do tej pory tak się zostało. I ciekawy jestem czy te delegacje tak będą jeździć, czy nie będą jeździć? Czy zerwa jego, czy przeniosą jego na ostatku? Podania piszą nadal, ale nie im z tych podaniów nie wychodzi.

(Urząd Miasta i Gminy w Ciechanowcu; pokój referenta Wydziału Komunikacji)

REFERENT: Wcześniejście ustalenia, wcześniejście pomiary, a przede wszystkim wygodą ustawienia przystanku w tym miejscu jest jak najbardziej właściwa. Znana mi jest ta sprawa. Ja już dzisiaj dostałem sześć, sześć, proszę pana, pism w tej sprawie

REPORTER: A skąd są te pisma?

REFERENT: Proszę pana, proszę tutaj...

REPORTER: Komitet Wojewódzki, Urząd Wojewódzki...

REFERENT: Tak, proszę pana, tu jest Urząd Gminy, Dyrekcja PKS, proszę pana...

REPORTER: O, i anonim jakiś nawet, tak?

REFERENT: Tak, i anonimowy też są, proszę pana. Ja w każdym razie jestem cierpliwy. A piszą wszyscy, proszę pana, ja to trzymam. Spokojnie trzymam. Tak. I gdziekolwiek piszą, czy piszą do Urzędu Wojewódzkiego, czy wyżej, do Warszawy, to i tak, proszę pana, do mnie wraca, przychodzi... Proszę pana, więc ja to będę wszystko zbierał, będę trzymał, i zobaczymy, kto kogo przetrzyma, tak.

REPORTER: Jak pan chce ich przetrzymać?

REFERENT: Po prostu, jeżeli już nikt nie będzie pisał, więc dopiero wtedy ja zajmę, podejmę odpowiednią decyzję.

REPORTER: A jaką pan może ewentualnie podjąć decyzję?

REFERENT: No, mnie się wydaje, że chyba decyzja będzie bardzo prosta — przystanek będzie w tym miejscu, w którym aktualnie jest.

(Nadal kłótnia kobiet przy wiejskim przystanku)

MŁODA KOBIETA: A ja bym powiedziała, że przystanek powinien być na środku!

STARSZA KOBIETA: I ja bym powiedziała. Dla wygodzie wszystkich!

STARUSZKA: I ten by brzeg nie był poszkodowany, i ten by nie był poszkodowany.

MŁODA KOBIETA: Bo to chodzi o metry! Nie chodzi o budynki, a chodzi o metry!

STARUSZKA: Tak, tak! Najwięcej by sprawiedliwie było!

obyczaje



Spotkanie w olimpijskim mieście

(KORESPONDENCJA „KONTAKTÓW” Z MOSKWY)

Z kim najłatwiej spotkać się w stolicy XXII Olimpiady? Oczywiście, z Miską. Wita gości ze sklepowych wystaw, wydrukowany jest na koszulkach, na proporczykach i znaczkach.

Jestem na olimpijskiej pływalni. Jeszcze przed rozpoczęciem igrzysk napisano wiele o sportowych obiektach Moskwy, ale olimpijska pływalia przerasta urodą wszelkie opisy; sprawiają to: wspaniała kolorystyka, niecodzienne, ciekawe oświetlenie, wreszcie — supernowoczesne urządzenia, pozwalające śledzić każdemu z widzów niemal na bieżąco rezultat, z jakim płyną zawodnicy. Komuś, kto zna sport pływacki tylko w krajowym wydaniu, trudno sobie wyobrazić, że pływalia to jeden z obiektów, na których najgłośniejszemu dopinguje się sportowców. U nas przecież zawody pływackie rozgrywa się nieledwie w konspiracji. Czasem tylko znajomi i rodziny zawodników zasiadają na trybunach. Tymczasem sport pływacki w światowym, olimpijskim wydaniu potrafi być naprawdę pasjonującym i barwnym widowiskiem.

W wyścigu eliminacyjnym na 200 metrów stylem motylkowym brała udział Dorota Brzozowska. W przedstartowych rozważaniach była uznawana za jedną z kandydatek do tytułu. Jeszcze nigdy dotychczas Polka nie wystąpiła w finale olimpijskim. Dorota miała tę szansę, i w pełni ją wykorzystała. Do finału awansowała ośmiem zawodniczek. Dorota miała piątą czas dnia. Nawet gdyby wystartowały te pływaczki, które z najrozsądniejszych względów nie mogły stanąć na starcie, rezultat Doroty Brzozowskiej dawałby jej miejsce w finale.

W jaki sposób spotkać się można z zawodniczką? Na szczęście spotkałem jej klubowego trenera, Michała Kanteckiego. Miał kłopoty z wejściem na trybunę, bo nie posiadał biletu, a kupienie go w Moskwie, wobec tak wielkiego zainteresowania kibiców, już teraz nie jest możliwe. Kiedy gospodarze Igrzysk dowiedzieli się, iż on właśnie jest trenerem Doroty Brzozowskiej, zawodniczki, która po raz pierwszy w historii polskiego pływania walczy o olimpijski tytuł, wpuścili go do obiektu. W ten sposób spotkałem się w pływalni olimpijskiego kompleksu na Prospekte Mira w Moskwie.

Czekamy więc na Dorotę Brzozowską i rozmawiamy.

— Ile musi pracować zawodniczka, aby mogła osiągnąć olimpijski tytuł?

— Oczywiście, raz trenuje więcej, innym razem mniej — mówi Michał Kantecki. — Jeśli ktoś próbowałby wyczerpać przeciętną, to 5 godzin dziennie spędza ona w basenie, a jeszcze przecież musi także ćwiczyć w hali.

— Wiadomo, bo sprawa była dość głośna, że Dorota Brzozowska nie znalazła miejsca w szkole mistrzostwa sportowego w Krakowie.

— Rzeczywiście, tak było. Dorota nie potrafiła zaaklimatyzować się w zupełnie nowym dla niej środowisku. Prawda, że przygotowywała się tylko w klubie, ale uważam, iż bez szkół mistrzostwa sportowego przyszłość polskiego sportu pływackiego byłaby niepewna.

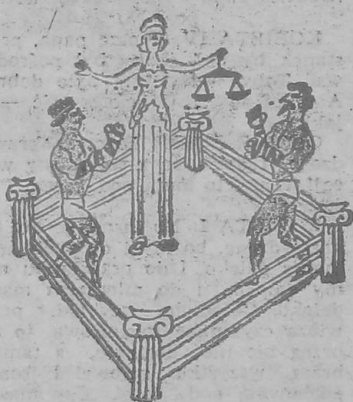
Nadchodzi Dorota Brzozowska — przemiła, sympatyczna, szesnastoletnia dziewczyna.

— Pani Doroto...

— Oj, tylko proszę, nie „pani”, jestem Dorota.

— Zgoda, ja Wojtek. Jedyną pytanie, jakie może nasunąć się po obejrzeniu twoich występów w Moskwie, brzmi: czy rzeczywiście awans do olimpijskiego finału potrafi wy równać 6 lat ciężkiej, treningowej pracy?

Uśmiechając się odpowiada: — W chwili, kiedy osiąga się założony plan, zapomina się o wszystkim: o brudnej i zimnej wodzie w basenie treningowym, o monotonii ćwiczeń, o wszystkim, co jest nieprzyjemne. Jedyną, o czym potrafię myśleć, to następne igrzyska i to, co na nich będę w stanie uzyskać.



Dorota Brzozowska zajęła 5 miejsce w wyścigu finałowym na 200 metrów stylem motylkowym. Znowu poprawiła rekord Polski. Była szczęśliwa.

Spotkań z polskimi sportowcami na olimpijskich igrzyskach odbywam więcej. Jest półmetek igrzysk. Są już zawodnicy, którzy zakończyli swój udział; są tacy, których jeszcze czekają starty. Pierwsi spośród Polaków sięgnęli po medale sztafety. Rywalizują oni o pierwszeństwo w hali sportowej Izmailowo.

Gdybym jednak zaczął teraz pisać o Izmailowie — mogliby się poczuć dotknięci kolarze. Tor Krylatskoje, na którym już pierwszego dnia zmagali padli cztery rekordy świata — to prawdziwy cud techniki. Nie zdołam jednak opisać piękna wszystkich obiektów, a o wynikach sportowych przyjdzie pisać jeszcze nie raz.

Moskwa dnia 23 lipca 1980 r.
WOJCIECH MITTELSTAEDT

POUFNY DZIENNIK BEZ DAT

Dzisiaj trudno mi w to uwierzyć, że naprawdę tam byłem. A minęło zaledwie trzy lata.

Autokar został na parkingu, dalej idziemy pieszo. Zbliża się południe. Błądzimy wśród korynckich kolumn Herajanu i po ruinach świątyni, dedykowanej bogini Herze — siostrze i małżonce Zeusa — a wybudowanej w VII wieku p.n.e. Szukamy trochę cienia. W pobliżu ruin świątyni Zeusa, tuż przy trójkątnym słupie podstawy posągu Nike, znajdujemy rozłożyste drzewo. Stąd patrzę na smukłe kolumny palestry, zwaliska kamiennych, pięknie ciosanych bloków — rumowisko; a przecież kiedyś to miejsce należało do jednego z siedmiu cudów świata. Posągu Zeusa, wykonanego przez Fidiasza, dzisiaj już nie ma. Został zniszczony przez silne trzęsienie ziemi.

Patrzę wokół i próbuję sobie wyobrazić, jak to wszystko wyglądało w czasach, gdy do Olimpii przybywali greccy pielgrzymi, którzy podziwiali wspaniałą architekturę świątyni i las posągów — wizerunków olimpijskich zwycięzców, rzeźbionych przez największych artystów greckich. Dzisiaj zostały po nim postumenty oraz wzniaki w literaturze.

Idziemy na stadion. U podnóża małej skarpy zatrzymujemy się na chwilę. Jest to miejsce, gdzie przed każdym igrzyskami zapala się znicz olimpijski. I tutaj — nawet wkroczył już wiek XX ze zdobycami cywilizacji. Dawnie ogień rozpalano od promieni słonecznych; teraz promienie zastąpiła iskra elektryczna.

Mijamy mały tunel. Wędruję wraz z żoną, więc — na wszelki wypadek — pytam przewodniczki, czy zniesiono już zakaz wstępowania kobietom na stadion. Sport był zawsze w Grecji sprawą męską. Nie wiasty nie miały prawa uczestniczyć w zawodach ani ich oglądać. Obawiano się, aby swym wdziękiem i pięknym ciałem ujemnie nie wpły-

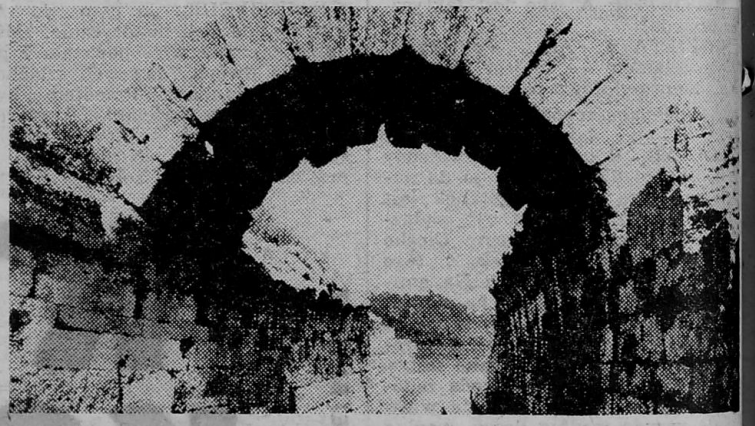
wały na formę i wyniki zawodników. To był surowy zakaz: w razie nieprzestrzegania go kobiety spotykała kara śmierci. Najczęściej stracono je ze skały Beratronu w przepaść. Na szczęście, nie było powodów, aby tę karę stosować zbyt często. Jedną tylko kobietą mogła oglądać igrzyska, i to ze specjalnie dla niej zbudowanej trybuny. Była nią planka Demeter. Lecz jej dojrzały wiek nie miał złych wpływów na zawodników.

Wchodzimy w olbrzymią przetrzeź, pokrytą zielenią: pośród niej widnieje jasnobrózowy prostokąt — boisko. Więc to tutaj — mylę. Cisza. Nagle ze wzgórz dobiega okrzyki widzów, pozdrawiające zwycięzców... To tylko wiatr przynosi głosy hałaśliwych turystów.

Stadion Olimpijski miał zawieszony (jak i teraz) tylko ziemne siedzenia, według ściśle przestrzeganej tradycji doryckiej. Kamienna była trybuna hellanodików (sędziów) znajdująca się mniej więcej w połowie stadionu, naprzeciw ołtarza Zeusa. Stadion mieścił 45 tysięcy widzów: bieżnia miała 212,54 metra długości, natomiast linie startu (na obu krańcach) umieszczono w odległości 192,30 metra (co równa 600 stopom heroicznym długości 32,5 centymetra). Patrzę na stadion i przypominam sobie wydarzenia, które sprawiło, że zamarł. Cezar Teodozjusz — niszcząc wszystkie świątynie pogańskie — zlikwidował również i ten obiekt. Ostatnie igrzyska odbywały się tu w roku 393 — po 1200 latach istnienia.

Obiad jemy w miasteczku. Turystów. Rozkrzyżowani kelnerzy błyskawicznie roznoszą posiłki. Obojętnie, na stoliku, leży mała paczka Makariosa. Ciągłe myślenie o rzeźbionej, którą widziałem w Muzeum w Delfach. Woźnica ten wygłosił w Olimpii wyścig rydwanów. Lewą rękę ma obciętą, w prawą trzyma lejce, a konie zniknęły gdzieś bez śladu, jak nazwisko zwycięzcy.

JAN KULKA



donos

Niniejszym pragnę zawiadomić odpowiednie władze, że niektórym poprzewracało się w głowach. Nie wiedzą, czego chcą, i ciągle wybrzydają.

Trzeba wyjaśnić, kto rozpęścił działaczów, trenerów i zawodników. Ciągłe coś im się nie podoba. Ostatnio skarżą się, że przychodnia sportowo-lekarska w Łomży jest ciągle nieczynna. A na drzwiach przychodni pisze wyraźnie: *Przychodnia czynna w godzinach: 13.30—15.00. Piszcie!* Więć o co chodzi? Do innych lekarzy też nie można się dostać, ale nikt się nie skarży.

Albo niektórzy działacze: ciągle przychodzą do ŁKS-u i coś tam załatwiają, obradują, pomagają. Niech się zajmą swoją robotą lub jadą na grzyby. Pora odpowiedzieć.

Trenerom od tenisa stołowego także trzeba znaleźć jakieś zajęcie. Mają za dużo wolnego czasu. Nie dość, że chcą w Łomży zorganizować ogólnopolski turniej klasyfikacyjny w tenisie stołowym, to jeszcze marzy się im organizacja masowej imprezy o zasięgu wojewódzkim! A ich podopieczni z powrotem chcą wejść do drugiej ligi. Przecież dopiero co z niej spadli. Zie im w klasie międzywojewódzkiej? Poszaleli chyba!

Ze pomieszało się w głowach Łomżaniakom i odmłodzili drużynę ŁKS-u, to rozumiałem, wiadomo — województwo. Nie mogę jednak zrozumieć, dlaczego działacze „Olimpii” wygonili piłkarzy do pracy. Jak tak można? Kto będzie grał w drużynie seniorów? Chyba nie juniorzy, nie

dadzą rady. To, co oni robią, musi być rozsądkiem.

Niektóre kluby i organizacje sportowe nie mogą zrozumieć, że Wojskowy Ośrodek Sportu i Rekreacji w Łomży oraz jego filie na terenie województwa trzeba pilnie cięć za korzystanie z obiektów i urządzeń sportowych. Nieważne, czy taki ŁKS lub „Warmia” byli kiedyś właścicielami tych obiektów. Kluby są biedne i nie mają pieniędzy? No szkodzi, można je zlikwidować. Będzie mniej kłopotów.

Szczytem niekompetencji jest wybrzydanie, że budowanie w Łomży przy Liceum Ogólnokształcącym, basen to nie basen, tylko brodzik dla dzieci. Na wszystko przyjdzie czas. W przyszłości wybuduje się większy. Budowa małego idzie opornie, a o by dopiero było przy budowie pełnowymiarowego? Co tam basen! Remont stadionu w Łomży trwa trochę dłużej i końca nie widać. Stadion w Kolnie budowano dziesięć lat, a w Zambrowie budowę rozpoczęto osiem lat temu. Też końca nie widać. I nikt nie narzeka.

Niektórym się nie podoba. Szkolny Związek Sportowy nie zgadza się na przystąpienie do Wojskowej Federacji Sportu w Łomży Międzyszkolnego Klubu Sportowego „Zorza”. I dobrze. Tylko tego brakowało, żeby Wojewódzka Federacja Sportu rzuciła w Szkolny Związek Sportowy!

Trzeba utrzyć nosa malkontentom! Koniecznie.

Ze sportowym pozdrowieniem
WYMIATAŁ

Sport

ŁOMŻYŃSKIE PRZEDSIĘBIORSTWO BUDOWLANE

w Łomży, ul. Nowogrodzka 1

ZATRUDNI

od zaraz w nowo uruchomionej fabryce domów w Łomży

PRACOWNIKÓW W NASTĘPUJĄCYCH ZAWODACH

- ▲ palacz kotłów wysokoprężnych
- ▲ suwnicowy
- ▲ zbrojarz
- ▲ betoniarz
- ▲ spawacz
- ▲ kierowca wózków akumulatorowych i spalinowych
- ▲ elektromonter
- ▲ hydraulik

Wynagrodzenie wg akordowego systemu płac.

Pracownicy zamieszkowi mają możliwość zakwaterowania w hotelu robotniczym. Warunki pracy do omówienia w biurze Łomżyńskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego w Łomży, ul. Nowogrodzka 1, pokój nr 5.

ŁK 3132-0

31.07.1980 TV 6.08.1980

Czwartek 31 lipca 1980 r.

PROGRAM I

8.00. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
13.30. Teleferie, w programie: „Niebo-
zowa Akcja Letnia oraz amerykański
film fabularny „Wojna planet”, odc.
pt. „Niebezpieczeństwo z dżowia”.
16.05. Dziennik Telewizyjny.
16.20. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
19.20. Dobranoc.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Przed sądem przysięgłych” —
amerykański film fabularny.
21.30. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
23.00. Dziennik Telewizyjny.

PROGRAM II

11.00. „Wakacje” — odc. IV filmu fa-
bularnego TVP.
11.55. Dziennik Telewizyjny.
17.00. Popołudnie Przygody i Podróży,
w programie filmy: „Plemie, które u-
ciekało od świata”, „Szlakiem Aleksan-
dramac Macedońskiego”, „Radziecki Daleki
Wschód” oraz opowieści podróżnicze:
„Tajemnice Sumatry”, „Przygody na
„Tajemniczym Wschodzie”.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Nurt: nauczanie początkowe.
21.10. 24 Godziny.
21.20. Przewodnik TV — „Kulisy tele-
wizji”.
21.45. Pegaz.
22.30. Nurt: nauczanie początkowe.

1 sierpnia 1980 r.

PROGRAM I

8.00. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
12.20. Teleferie, w programie „Cuda-
czek” oraz Kino Teleferii Najmłodszych:
„Przygody Dziwnego psa Huckleberry”,
„Polowanie”, „Myszka czy ptaszek”,
„Lotny patrol” oraz film z serii „Augie-
Doggie”, odc. pt. „Święto taty”.
13.50. Dziennik Telewizyjny.
14.05. „Wakacje”, odc. IV (ostatni) pt.
„Znowu razem” — film fabularny TVP.
14.40. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
19.00. Teatr Młodych Form — Tadeusza
Gajcy: „Do potomnego”, reż. Andrzej
Banić.
19.20. Dobranoc.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Godzina „We” — film fabular-
ny TVP.
21.40. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
23.00. Dziennik Telewizyjny.

PROGRAM II

11.00. „Godzina „We” — film TVP.
12.25. Dziennik Telewizyjny.
16.50. Świat na małym ekranie: „La-
to z muzyką” (fiński) i „Twórczość lu-
dowa Polesia” (ZSRR).
17.25. „Kryptonim „Synteza” — re-
portaż.
17.50. „Gwiazdzyk”: Beata Tyszkie-
wicz.
18.35. „Kłaps” — przewodnik kinoma-
na.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Koncert WOSPRIV.
20.50. 24 Godziny.
21.05. „Lato w Dwójce”. „Bibliote-
ka” — teleturniej.
21.40. „Życie obok ringu” — odc. IV
filmu fabularnego TV francuskiej (oby-
czajowego).
22.40. „Śledztwo zostało wznowione”.

Sobota 2 sierpnia 1980 r.

PROGRAM I

8.00. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
12.55. „Militaria, Obrońność, Nowo-
czesność”.
13.40. Dziennik Telewizyjny.
13.55. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
18.00. „Od melodii do melodii” — pro-
gram rozrywkowy produkcji CSRS.
18.20. Studio Telewizji Młodych.
18.50. Dobranoc.
19.00. „Świat, który nie może zginąć” —
angielski film przyrodniczy.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Pogoda dla bogaczy”, odc.
XVIII amerykańskiego dramatu oby-
czajowego.
21.05. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
23.00. Dziennik Telewizyjny.
23.15. „Błaski i cienie młodości” — ja-
póński melodramat filmowy.

PROGRAM II

17.30. „Lato w Dwójce”. „Wojna do-
mowa”, odc. II komedii TVP: „Bilet do
fryzjera”.
18.25. „Śladami Marco Polo” — odc.
IV włoskiego filmu dokumentalnego.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. „Młodzi mistrzowie tańca”,
część I radzieckiego programu baletow-
ego.
20.55. „Co słychać?”
21.15. „Potyczki rodzinne” — teletur-
niej.
22.10. „Biuro romanów” — część II
radzieckiej komedii obyczajowej.

Niedziela 3 sierpnia 1980 r.

PROGRAM I

7.40. TTR — zajęcia wakacyjne: „Gmin-
na służba rolna” oraz „Przoda chlewa-
na”.
8.20. Nowoczesność w domu i zagro-
dzie.
8.50. Emerytura dla rolników.
9.05. Kino Teleferii: „Gesiarka przy
studni” — basz filmowa produkcji NRD.
10.05. Antena.
10.30. Studio Olimpijskie — Moskwa 80.
13.00. Dziennik Telewizyjny.
13.15. Rolnicze rozmowy.
13.45. Laureaci konkursu chopinowskie-
go — Maurizio Pollini.
14.30. Klub Szczęśliwych Kontynentów —
barczerskie safari.
15.20. Losowanie dużego lotka.
15.30. „Zdolny do wszystkiego” — ra-
dziecka komedia filmowa.
16.40. Telewizyjny Koncert Zyczeń.
17.30. Największe wydarzenia olimpia-
dy.
19.00. Dziennik Telewizyjny.
19.30. Studio Olimpijskie — Moskwa 80
(ceremonia zamknięcia XXII Igrzysk
Olimpijskich).
21.35. „Wichrowe wzgórza”, odc. V an-
gielskiego serialu filmowego.
22.30. Lipcowy koncert Jerzego Milia-
nowicza.

PROGRAM II

9.50. Magazyn lotniczy.

10.20. „Lato w Dwójce”. Przeboje ty-
godnia.

11.55. Prapremiera Teatru Telewizji —
Jerzy Krzysztof: „Kamienne niebo”.
13.05. Popołudnie fauny i flory.
13.45. Muzyczne archiwum Studia 2.
14.45. „1-8” — reportaż filmowy.
15.20. Wszystko już było — „Piosenki
na wakacje”.
16.00. Kino-Okło — kalejdoskop filmo-
wy.
17.00. „Klub żółtej bandery” — włoski
film muzyczny.
18.35. Wieczorynka.
19.00. Dziennik Telewizyjny.
19.35. W Starym Knie: „Niech żyje
wolność” — francuska komedia filmowa
w reż. René Claira.
21.05. Klub Jazzowy Studia Gama —
recital Rosy King.
21.35. Andres Segovia: „Pieśń gita-
ry” — film muzyczny.
22.30. „Diamant radży” — komedia
TVP w reż. Sylwestra Chęcińskiego.

Poniedziałek 4 sierpnia 1980 r.

PROGRAM I

9.00. Teleferie, w programie „Złoto
rozbitek” — film przygodowy z cyklu
„Niezwyciężka piątka”.
16.15. Dziennik Telewizyjny.
16.30. „Wakacje w kręgu rodziny”.
17.20. „Ocalić od zapomnienia”.
17.40. „Golabeczka”, odc. IV (ostatni)
radzieckiego filmu obyczajowego.
18.50. Dobranoc.
19.00. Echa stadionów.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Teatr Telewizji — Jerzy Krzys-
tof: „Kamienne niebo”.
21.25. „Marszałkowska” — film doku-
mentalny.
21.40. Aktor i piosenka — „Troche
pieprzu, trochę soli”.
22.10. Horyzont — „Śmierć w Świątyni
Ludu”.
23.10. Dziennik Telewizyjny.

PROGRAM II

10.00. „Golabeczka”, odc. IV radziec-
kiego filmu obyczajowego.
11.10. „Marszałkowska” — film doku-
mentalny.
11.25. Studio Bis.
11.55. Dziennik Telewizyjny.
17.00. Studio Bis.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Studio Bis.

Wtorek 5 sierpnia 1980 r.

PROGRAM I

8.55. Kino Teleferii — „Samochodzik
i templariusze”, odc. I pt. „Po przygo-
dzie” i odc. II — „Falszywy brodac”.
15.25. Telewizyjny Klub Seniora.
16.15. Dziennik Telewizyjny.
16.30. „Wakacje w kręgu rodziny”.
16.55. Interstudio.
17.20. Sonda — „Najdalsze granice”.
17.50. „Królik Bugs przedstawia” — a-
merykański film animowany.
18.15. Studio Telewizji Młodych.
18.50. Dobranoc.
19.00. „Lasy i jeziora wschodniego
Kazachstanu” — film przyrodniczy.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Ujrzyć Neapol i...” — węgierska
komedia filmowa.
21.35. Ex libris.
21.55. XYZ, część I.
22.25. Poglady — program publicys-
tyczny.
22.40. XYZ, część II.

PROGRAM II

10.00. Sonda — „Najdalsze granice”.
10.35. Pegaz młodych.
11.00. „Skojarzenia” — teleturniej.
11.25. Klub Jazzowy Studia Gama.
12.00. Dziennik Telewizyjny.
16.35. „Pawel i Virginia” — odc. VIII
francusko-szwajcarskiego filmu przygo-
dowego.
17.05. Ekran reporterów.
17.35. Klub Jazzowy Studia Gama.
18.10. „Skojarzenia” — teleturniej.
18.35. Mówić nie mówić, część II:
„Skąd się biorą dzieci”.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Pegaz młodych.
20.40. Wtorek Melomana.
21.40. 24 Godziny.
21.50. Teatr Wspomnień — Anna Ko-
walska: „Safona”.

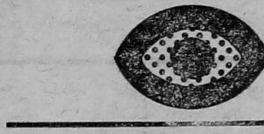
Sroda 6 sierpnia 1980 r.

PROGRAM I

9.00. Teleferie Najmłodszych: „Podró-
żuj z nami” oraz „Jana z dzungli”,
odc. IX amerykańskiego filmu animo-
wanego.
16.15. Dziennik Telewizyjny.
16.30. „Wakacje w kręgu rodziny”.
16.55. Losowanie ekspres- i małego
lotka.
17.05. Dom i my.
17.20. Skarbiec — tygodnik historycz-
ny.
17.50. „Tfuu” — polski film animo-
wany.
18.00. Mam pomysł.
18.30. „Taniec jazzowy” — szwajcarski
program baletowy.
18.50. Dobranoc.
19.00. „Piosenki, które lubimy” —
program rozrywkowy.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. W Filmotece Arcydział —
„Rashomon”, japoński dramat obyczaj-
owy w reż. Akira Kurosawy (Złoty
Lew w Wenecji — 1951 i „Oscar” —
1952).
21.50. „Konkrety” — program publicys-
tyczny.
22.20. Camerata — magazyn muzyczny.
22.50. Dziennik Telewizyjny.

PROGRAM II

11.10. Po Igrzyskach Olimpijskich w
Moskwie.
12.30. Dziennik Telewizyjny.
17.15. Program morski.
17.35. „Postawy” — program publicys-
tyczny.
18.00. Sprawy młodych — „Kto wzy-
wał lekarza”, radziecki film obyczaj-
owy.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Po Igrzyskach Olimpijskich w
Moskwie.
21.30. 24 Godziny.
21.40. „Jak usiłuje malarza pokojowe-
go” — jugosłowiańska komedia obyczaj-
owa.

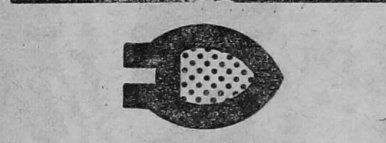


Łomża, kino „Październik”: 31 VII —
1 VIII — „Męczący z białym goździ-
kiem”, prod. szwedz. (od lat 15); 2-4 VIII
— „Po drodze”, prod. polsk.-węg. (od lat
15); 5-7 VIII — „Dziedzictwo” prod. ang.
(od lat 18).

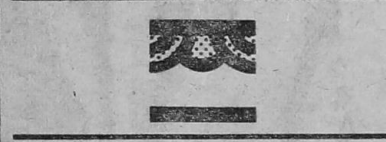
Grajewo, kino „Relaks”: 31 VII — „Nie
strzelaj do nauczyciela”, prod. kanad.
(od lat 15); 1-2 VIII — „Prawdziwe ży-
cie Drakuli”, prod. rum. (od lat 15);
3-5 VIII — „FIST”, prod. USA (od lat
18); 6-7 VIII — „Noc amerykańska”,
prod. franc. (od lat 15).



Muzeum Okręgowe w Łomży, ul. Krzy-
we Koło 1, czynne codziennie (z wyjąt-
kiem poniedziałków i dni poświęce-
nych): we wtorki i czwartki w godz.
11.00-18.00, w środy, piątki i soboty w
godz. 10.00-15.00, w niedziele w godz.
11.00-15.00. Wystawy: „Pejzaż polski w
malarstwie Jerzego Zgorzałki” (od 4.
VIII); „Monety polskie z XVI wieku” —
ze zbiorów własnych członków PTAN.
Park Etnograficzny Północno-wschod-
niego Mazowsza im. Adama Chętnika w
Nowogrodzie — Oddział Muzeum Okrę-
gowego, czynne codziennie (z wyjąt-
kiem poniedziałków i dni poświęce-
nych) w godz. 9.00-16.00. Wystawy: 1)
Wnętrza chat, kuźni, olejarni z wyposa-
żeniem, izba tkacki-artystki ludowej
Anny Kordeckiej, śpiżnierek z wystawą
obrazującą przemiał i przechowywanie
zboż, stodoła ze starym, drewnianym
kieratem i narzędziami bartnymi, 2) W
Dworku z Brzozek wystawa archeolo-
giczna — „Pradzieje Nowogrodu”, 3) W
chacie z Baranowa wystawa „Adam
Chętnik — życie i działalność”.



Galeria Jednej Fotografii, ul. Marla-
na Buczka 17 (witraż na kwiadrze „Mi-
moza”: Bolesław Deptuła — „Siostry”).
Galeria Sztuki Współczesnej, ul. Scle-
giennego 1 (czynna codziennie — oprócz
niedzieli i dni świątecznych — w godz.



Wojewódzki Dom Kultury w Łomży:
Dyskusyjny Klub Filmowy „To tu”,
1 VIII, godz. 20.00 (w sali kina „Paź-
dziernik”).

Łomża 80. „Studenti Łomży, Łomża
studentom”: wieczór z Tolkim Murac-
kim, 4 VIII, godz. 19.00 — w klubie „Bo-
nar” i 6 VIII, godz. 18.00 — w sali Pań-
stwowego Szkoły Muzycznej w Łomży.
Miejsko-Gminny Dom Kultury w Wy-
sokim Mazowieckim: wieczorek tanecz-
ny dla młodzieży, 3 VIII, godz. 17.00
(muszla koncertowa).

1 VIII, godz. 20.00 (w sali kina „Paź-
dziernik”).
Łomża 80. „Studenti Łomży, Łomża
studentom”: wieczór z Tolkim Murac-
kim, 4 VIII, godz. 19.00 — w klubie „Bo-
nar” i 6 VIII, godz. 18.00 — w sali Pań-
stwowego Szkoły Muzycznej w Łomży.
Miejsko-Gminny Dom Kultury w Wy-
sokim Mazowieckim: wieczorek tanecz-
ny dla młodzieży, 3 VIII, godz. 17.00
(muszla koncertowa).

Wrażenia głębokiego współczucia
Kol. ZDZISŁAWOWI
TRUSZKOWSKIEMU
Przesłaliśmy Wojewódzkiej Spół-
dzielni Mleczarskiej w Łomży
z powodu śmierci
OJCA
składają:
Zarząd, KZ, Rada Zakładowa
i pracownicy WZSR „Sch” w
Łomży. k 3292-1

WYRAZY GŁĘBOKIEGO WSPÓŁCZUCIA
Kol. ZDZISŁAWOWI
TRUSZKOWSKIEMU
Przesłaliśmy Wojewódzkiej Spół-
dzielni Mleczarskiej w Łomży
z powodu śmierci
OJCA
składają:
Zarząd, KZ, Rada Zakładowa
i pracownicy WZSR „Sch” w
Łomży. k 3292-1

WYRAZY GŁĘBOKIEGO WSPÓŁCZUCIA
Kol. ZDZISŁAWOWI
TRUSZKOWSKIEMU
Przesłaliśmy Wojewódzkiej Spół-
dzielni Mleczarskiej w Łomży
z powodu śmierci
OJCA
składają:
Zarząd, KZ, Rada Zakładowa
i pracownicy WZSR „Sch” w
Łomży. k 3292-1

WYRAZY GŁĘBOKIEGO WSPÓŁCZUCIA
Kol. ZDZISŁAWOWI
TRUSZKOWSKIEMU
Przesłaliśmy Wojewódzkiej Spół-
dzielni Mleczarskiej w Łomży
z powodu śmierci
OJCA
składają:
Zarząd, KZ, Rada Zakładowa
i pracownicy WZSR „Sch” w
Łomży. k 3292-1

WYRAZY GŁĘBOKIEGO WSPÓŁCZUCIA
Kol. ZDZISŁAWOWI
TRUSZKOWSKIEMU
Przesłaliśmy Wojewódzkiej Spół-
dzielni Mleczarskiej w Łomży
z powodu śmierci
OJCA
składają:
Zarząd, KZ, Rada Zakładowa
i pracownicy WZSR „Sch” w
Łomży. k 3292-1

WYRAZY GŁĘBOKIEGO WSPÓŁCZUCIA
Kol. ZDZISŁAWOWI
TRUSZKOWSKIEMU
Przesłaliśmy Wojewódzkiej Spół-
dzielni Mleczarskiej w Łomży
z powodu śmierci
OJCA
składają:
Zarząd, KZ, Rada Zakładowa
i pracownicy WZSR „Sch” w
Łomży. k 3292-1

WYRAZY GŁĘBOKIEGO WSPÓŁCZUCIA
Kol. ZDZISŁAWOWI
TRUSZKOWSKIEMU
Przesłaliśmy Wojewódzkiej Spół-
dzielni Mleczarskiej w Łomży
z powodu śmierci
OJCA
składają:
Zarząd, KZ, Rada Zakładowa
i pracownicy WZSR „Sch” w
Łomży. k 3292-1

Kolno, kino „Wrzos”: 31 VII-1 VIII —
„Intryga rodzinna”, prod. USA (od lat
15); 2-3 VIII — „Bezdroża”, prod. rum.
(od lat 15); 4-6 VIII — „Imperium na-
miętności”, prod. jap. (od lat 18).

Wysokie Mazowieckie, kino „Wars”:
31 VII — „Ucieczka na Atene”, prod.
ang. (od lat 15); 1-3 VIII — „Węgierska
rapsodia”, prod. węg. (od lat 15);
5-6 VIII — „Komisarz z spódnicy”, prod.
franc. (od lat 15).

Zambrów, kino „Kosmos”: 31 VII-1 VIII
— „Dziedzictwo”, prod. ang. (od lat 18);
2-3 VIII — „W przeciwnych zwierz-
ciadach”, prod. rum. (od lat 15); 4-
5 VIII — „Flic story”, prod. franc. (od
lat 18); 6-7 VIII — „Pierwsza miłość”,
prod. włosk.-franc. (od lat 18).

Kierownictwo kin zastrzega możliwość
zmian programu.

nych) w godz. 9.00-16.00. Wystawy: 1)
Wnętrza chat, kuźni, olejarni z wyposa-
żeniem, izba tkacki-artystki ludowej
Anny Kordeckiej, śpiżnierek z wystawą
obrazującą przemiał i przechowywanie
zboż, stodoła ze starym, drewnianym
kieratem i narzędziami bartnymi, 2) W
Dworku z Brzozek wystawa archeolo-
giczna — „Pradzieje Nowogrodu”, 3) W
chacie z Baranowa wystawa „Adam
Chętnik — życie i działalność”.

Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Klu-
ka w Ciechanowcu czynne codziennie
(z wyjątkiem poniedziałków i dni po-
święceń) w godz. 9.00-16.00, w nie-
dziele i święta w godz. 11.00-19.00. Wy-
stawy stałe: 1) „Dzieje rolnictwa” (tech-
niki uprawy, pasterstwo, hodowla, trans-
port, wiatrak, mechanizacja rolnictwa,
rzemiosło, tkactwo ludowe). 2) Wysta-
wa biograficzna Krzysztofa Kluka. 3)
Skansen mazowiecko-podlaski z ekspozy-
cją wnętrza. Wystawy czasowe: 1) „Pol-
ska wieś drewniana w malarstwie”. 2)
„Numizmaty Polski Ludowej”.

11.00-18.00, w soboty w godz. 11.00-16.00;
wystawa akwareli Stanisława Kedzie-
lowskiego.
Łomżyńskie Towarzystwo Fotograficz-
ne (hol hotelu „Polonez”): 1) Seppo Pi-
karinen (Finlandia), Zbigniew Sagan
(Polska) — wystawa fotografii; 2) „Łom-
ża w fotografii Mieczysława Gregorka”.
Ekspozycja czynna codziennie.

Salon Wystawowy BWA, ul. Armii
Czerwonej 19 (czynny codziennie — o-
prócz poniedziałków i dni poświęce-
nych — w godz. 12.00-18.00, w soboty i
niedziele w godz. 13.00-16.00). „Wnętrze”
— poplenerowa wystawa fotografii „Cie-
chanowiec 79”.

1 VIII, godz. 20.00 (w sali kina „Paź-
dziernik”).
Łomża 80. „Studenti Łomży, Łomża
studentom”: wieczór z Tolkim Murac-
kim, 4 VIII, godz. 19.00 — w klubie „Bo-
nar” i 6 VIII, godz. 18.00 — w sali Pań-
stwowego Szkoły Muzycznej w Łomży.
Miejsko-Gminny Dom Kultury w Wy-
sokim Mazowieckim: wieczorek tanecz-
ny dla młodzieży, 3 VIII, godz. 17.00
(muszla koncertowa).

Wrażenia głębokiego współczucia
Kol. ZDZISŁAWOWI
TRUSZKOWSKIEMU
Przesłaliśmy Wojewódzkiej Spół-
dzielni Mleczarskiej w Łomży
z powodu śmierci
OJCA
składają:
Zarząd, KZ, Rada Zakładowa
i pracownicy WZSR „Sch” w
Łomży. k 3292-1

Wrażenia głębokiego współczucia
Kol. ZDZISŁAWOWI
TRUSZKOWSKIEMU
Przesłaliśmy Wojewódzkiej Spół-
dzielni Mleczarskiej w Łomży
z powodu śmierci
OJCA
składają:
Zarząd, KZ, Rada Zakładowa
i pracownicy WZSR „Sch” w
Łomży. k 3292-1

Wrażenia głębokiego współczucia
Kol. ZDZISŁAWOWI
TRUSZKOWSKIEMU
Przesłaliśmy Wojewódzkiej Spół-
dzielni Mleczarskiej w Łomży
z powodu śmierci
OJCA
składają:
Zarząd, KZ, Rada Zakładowa
i pracownicy WZSR „Sch” w
Łomży. k 3292-1

Wrażenia głębokiego współczucia
Kol. ZDZISŁAWOWI
TRUSZKOWSKIEMU
Przesłaliśmy Wojewódzkiej Spół-
dzielni Mleczarskiej w Łomży
z powodu śmierci
OJCA
składają:
Zarząd, KZ, Rada Zakładowa
i pracownicy WZSR „Sch” w
Łomży. k 3292-1

Wrażenia głębokiego współczucia
Kol. ZDZISŁAWOWI
TRUSZKOWSKIEMU
Przesłaliśmy Wojewódzkiej Spół-
dzielni Mleczarskiej w Łomży
z powodu śmierci
OJCA
składają:
Zarząd, KZ, Rada Zakładowa
i pracownicy WZSR „Sch” w
Łomży. k 3292-1

Wrażenia głębokiego współczucia
Kol. ZDZISŁAWOWI
TRUSZKOWSKIEMU
Przesłaliśmy Wojewódzkiej Spół-
dzielni Mleczarskiej w Łomży
z powodu śmierci
OJCA
składają:
Zarząd, KZ, Rada Zakładowa
i pracownicy WZSR „Sch” w
Łomży. k 3292-1

Wrażenia głębokiego współczucia
Kol. ZDZISŁAWOWI
TRUSZKOWSKIEMU
Przesłaliśmy Wojewódzkiej Spół-
dzielni Mleczarskiej w Łomży
z powodu śmierci
OJCA
składają:
Zarząd, KZ, Rada Zakładowa
i pracownicy WZSR „Sch” w
Łomży. k 3292-1

Wrażenia głębokiego współczucia
Kol. ZDZISŁAWOWI
TRUSZKOWSKIEMU
Przesłaliśmy Wojewódzkiej Spół-
dzielni Mleczarskiej w Łomży
z powodu śmierci
OJCA
składają:
Zarząd, KZ, Rada Zakładowa
i pracownicy WZSR „Sch” w
Łomży. k 3292-1

Wrażenia głębokiego współczucia
Kol. ZDZISŁAWOWI
TRUSZKOWSKIEMU
Przesłaliśmy Wojewódzkiej Spół-
dzielni Mleczarskiej w Łomży
z powodu śmierci
OJCA
składają:
Zarząd, KZ, Rada Zakładowa
i pracownicy WZSR „Sch” w
Łomży. k 3292-1

Łomżyński tygodnik społeczny, pismo ZPR, REDAGUJE ZESPÓŁ: Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Stefan Henczelowa — zastępca redaktora naczelnego, Lech Sobolewski, Aleksander Wroniński, Stanisław Zieliński, Fotoreporter — Gabor Lónczy, Redaktor graficzny — Iwona Sielska, Redaktor techniczny — Zbigniew Henczel, Główny wydawca — Andrzej Bartosz, Jerzy Brodzik, Wiesław Janicki, Marek Jaworski, Henryk Kun, Klemens Krzyżagórski, Jan Kulka, Piotr Kunczewicz, Marek Kusiba, Franciszek Piatkowski, Tomasz Piotrowski, Zbigniew Stęclowski, Andrzej Tchorzewski, Mieczysław Wodnicki, KONCEPCJA GRAFICZNA: — Marek Goebel, ADRES REDAKCJI: ul. Sadowa 10, 18-400 Łomża. Telefon — 115380, Naktad 20.000 egz. 1-3.

KONTAKTY

